

.. Ewa wzywa 07...



Danuta Frey

ZABAWA W CHOWANEGO



ISKRY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07

Danuta Frey

ZABAWA W CHOWANEGO



Wiatr marszczył wodę jeziora w fale, które wyrzucały na brzeg brunatne liście, żwir i patyki, okolone obwódkami piany. Gdzieś odezwała się synogarlica. Jej zawodzące wołanie niesło się aż do lasu, porastającego wysokie brzegi Bejsunów.

W prześwicie między drzewami, na niewielkiej polanie, stał dom. Był to murowany piętrowy budynek o czerwonym, spadzistym dachu, ze ścianami pociętymi czarnym belkowaniem. Miejskami, od ganku po szczyt, pięło się po ścianach dzikie wino.

Dom należał do profesora medycyny Michała Malanowskiego, który kierował jedną z warszawskich klinik. Asystent profesora, Artur Horosz, zaproszony przez swego szefa po raz pierwszy nad Bejsuny, na letni urlop, trafił tu z trudem. Budynek, który był prawdopodobnie poniemiecką leśniczówką, leżał na uboczu, o kilka kilometrów od najbliższej wsi.

Było już późne popołudnie i słońce zaczynało przydawać wszystkiemu długich cieni. Wyżwirowana ścieżka, biegnąca od ogrodzenia, przy którym świerki i sosny tworzyły naturalny żywopłot, obchodziła kolorowy klomb.

Horosz zatrzymał samochód.

— Wygląda na to, że jesteśmy na miejscu — powiedział. Otworzył drzwiczki, wysiadł, przeciągnął się. Czuł zmęczenie po długiej drodze z Warszawy.

Żona Horosza, Justyna, siedziała nadal w wozie. Jeżeli ktoś zajrzyłby teraz przez szybę, spostrzegłby dość pulchną, trzydziestoparoletnią blondynkę, której szczęśliwie udało się zachować resztki dziewczęcej świeżości. Miała jasną cerę i niebieskie oczy. Jej długie włosy były związane z tyłu wstążką, pełne, uszmińkowane usta pozostawiały czerwony ślad na bibułce papierosa, którego właśnie paliła.

Justyna i Artur byli małżeństwem od czterech lat. Poznali się podczas wycieczki do Bułgarii. Ona właśnie skończyła studia na wydziale historii, on obronił pracę habilitacyjną. Oboje przyjechali

nad Morze Czarne spragnieni słońca po chłodnej polskiej wiosnie. Pobrali się wkrótce po urlopie. Wówczas byli przekonani, że robią to z prawdziwej, wielkiej miłości...

Artur pchnął furtkę. Była nią zamknięta. Justyna również wysiadła z samochodu i poszła za mężem. Kiedy oboje znaleźli się w ogrodzie, zza domu wyszła kobieta. Miała około pięćdziesięciu lat i była bardzo szczupła, wręcz chuda. Nie tuszowała tego nawet szeroka sukienka w kwiaty. W rękach nieznajoma trzymała pęk pomarańczowych nasturcji.

Na widok nowo przybyłych zatrzymała się.

— Dzień dobry — powiedział Horosz — pani pozwoli, że się przedstawimy... — przyglądał rudawe włosy i głośno wyrecytował swoje imię i nazwisko. — A to moja żona, Justyna — dodał. — Czy mamy może przyjemność z małżonką profesora Malanowskiego?

W oczach nieznajomej, dotychczas bez wyrazu, zapłonął naraz jakiś osobliwy blask. Nasturcje w jej dłoniach jakby zastygły, jeden z kwiatów wysunął się z rąk i upadł na ziemię.

Szybko się jednak ocknęła. Na jej ustach pojawił się wymuszony uśmiech.

— Owszem — potwierdziła. — Jestem Mira Malanowska.

Dłoń miała gorącą, wilgotną, może od kwiatów.

— Mąż zapowiadał mi przyjazd państwa. Czym państwo jesteście? Samochodem? Proszę wypakować walizki, zaraz was ulokuję. Ciasno tu u nas, ale jakoś sobie poradzimy. Na pewno będą państwo zadowoleni... — mówiła teraz pospiesznie, jak gdyby chcąc zagadać poprzednie niezręczne milczenie.

Wnętrze budynku zapewne przeszło sporą modernizację. O ile jednak układ parteru przypominał normalne, tyle że bardziej luksusowo urządzone mieszkanie, o tyle piętro miało charakter niemalże pensjonatu. Wskazywał na to chociażby długi korytarz z kilkoma parami drzwi. Przy

końcu skręcał on nagle pod kątem prostym przechodząc w schody, wiodące na coś w rodzaju mansardy.

Horoszowie dostali duży pokój o ukośnych drewnianych ścianach. Wydawało się, że całe pomieszczenie przepojone jest urokliwym zapachem przytulności. To pachniały jabłka, ułożone w słomianym koszu. Kosz stał na okrągłym, wiklinowym stole, przykrytym lnianym obrusem. Obok znajdowały się dwa pojedyncze tapczaniki oraz jasna szafa z surowego drewna.

To właśnie z okien pokoju na mansardzie Artur Horosz ujrzał po raz pierwszy jezioro Bejsuny. Leżało w dole — owalna, głęboka misa ciemnej wody, obramowana aż po horyzont lasami. Po jej powierzchni sunęła żaglówka. Wiatr znosił ją coraz dalej, wreszcie stała się ledwo widocznym punkcikiem.

Podczas gdy Justyna rozpakowywała rzeczy, Horosz postanowił zejść nad jezioro. I to wówczas ze wzgórza nad wodą ujrzał po raz pierwszy Pat.

Stała na samym krańcu drewnianego mostu, huśtając się wraz z całą konstrukcją unoszoną przez fale i uskakując zabawnie w momencie, gdy woda docierała do jej stóp. Nosila podwinięte do kolan spodnie, przepasane w taliu szerokim paskiem i krótką bluzkę spod której ukazywał się pas opalonego ciała. Horosz zwrócił jednak uwagę przede wszystkim na jej włosy. Były długie, prawie do połowy pleców, czarne i lekko sfalowane. Wiatr wyczyniał z nimi przedziwne harce, wznosząc je do góry, rozrzucając na boki, to znowu pozwalając, by swobodnie opadły na dół.

Artur patrzył jak zafascynowany. Dziewczyna na pomoście musiała wyczuć jego wzrok, bo nagle gwałtownie się odwróciła. Horosz ujrzał szczupłą, trochę południową twarz o śniadej cerze i dużych, ciemnych oczach.

— Halo! — zawołała, wyciągając rękę ponad głowę. Głos miała nadspodziewanie niski, głęboki, z lekką chrypką. Brzmiał w nim obcy, cudzoziemski akcent.

Przeszła kilka kroków po pomoście, uśmiechając się zachęcająco do Artura. Wyglądem przypominała nieco Cyganke: różnokolorowe korale i wisioriki, jakie nosiła, brzęczały przy każdym ruchu.

Horosz zbiegł z wysokiego brzegu.

Ostatnia z desek pomostu była złamana i częściowo wykruszona. Ominąwszy ją dziewczyna zeskoczyła na brzeg tak, że niemal wpadła na Artura. Jego wyciągnięte dłonie dotknęły jej rąk

i tak przez chwilę pozostały. Niemal równocześnie spotkały się ich oczy, rozeźmieli się.

— Założę się, że wiem, kim pan jest — powiedziała dziewczyna. — Doktor Horosz, zgadłam?

Uśmiechnęła się, pokazując odrobinę wystające zęby, które nadawały jej twarzy wyrazu pewnej filuterności.

Skinął głową.

— Ma pani dobry wywiad.

— To nie wywiad, lecz ciocia Mira. Rano prosiła mnie, żebym przygotowała dla pana pokój. Ten dwuosobowy, na mansardzie. Zgadza się?

— Niestety — rzekł Horosz — nie będę się mógł zrewanżować tym samym. Nie mam co liczyć na szósty zmysł czy przeczucie. Od dawna mnie zawodzi...

— Na imię mi Patrycja — oznajmiła. — Dla znajomych jestem po prostu Pat. Wystarczy?

Horosz uśmiechnął się, że się zastanawia.

— No, może na razie. Liczę jednak na to, że się poznamy bliżej.

Sam się sobie dziwił, że daje się wciągnąć w rodzaj flirtu z nieznajomą i że odczuwa przy tym wewnętrzne podniecenie. Mimo woli pomyślał o Justynie. Czy obserwuje go teraz z góry?

„A jeśli nawet — pomyślał zaczepnie. — Nie robię w końcu nic, co mogłoby ją upoważniać do jakiegokolwiek interwencji. Albo jeszcze gorzej — do urzędzenia sceny zazdrości”.

Tych scen, powtarzanych przez Justynę przy lada okazji, a niejednokrotnie i bez niej, Artur Horosz organicznie nie znosił. Co prawda już wkrótce po ślubie odkrył u żony skłonności do historii i dramatyzowania, jednakże ostatnio te cechy gwałtownie się u niej nasiliły.

— Nie chciałyby się pani przejść? — zwrócił się do Pat. — Wieczór jest taki piękny, ciepły... Pokaże mi pani jezioro...

— Dobrze — zgodziła się nadspodziewanie szybko. — Pójdziemy do Zatoki Szczupaków.

Spojrzał na nią pytająco.

— To nazwa nadana przez stryja. Dwa albo trzy lata temu będąc na rybach złowił tam kilka olbrzymich szczupaków. Stąd nazwa. Ale swoją drogą zatoczka jest naprawdę urocza. Zresztą sam pan zobaczy.

Poszli ścieżką, wiodącą skrajem wysokiego brzegu. Zatoczka wyloniła się nagle i niespodziewanie za cyplem, przy którym stała zakotwiczona żaglówka.

Patrycja przyspieszyła kroku. Zatrzymała się dopiero nad samym jeziorem, ściągnęła tenisówki,

podwinęła spodnie do kolan i brodząc ruszyła w kierunku łódki.

— To żaglówka stryja! — krzyknęła, rozpryskując stopami wodę. Za chwilę wskoczyła do środka. Łódź przechyliła się, odsłaniając biały napis „Mewa” na czerwono lakierowanej burcie.

— Halo! — zawołała tymczasem Patrycja. — Niechże pan tu przyjdzie!

Horosz zdjął buty i wszedł do wody. Pod nogami miał muliste dno, po którym z trudem, ślizgając się, dotarł do łodzi. Pat podała mu rękę i prawie wciągnęła go na pokład. W jej oczach Horosz odkrył z niezadowolaniem błysk kpiny. Zły sam na siebie usiadł na burcie, sięgnął po papierosa.

Patrycja przyjęła papierosa bez namysłu. Usiadła obok Artura i paliła w milczeniu, zaciągając się nerwowo. Jej wzrok wędrował co chwila na brzeg.

— Spodziewa się pani kogoś?

Dziewczyna spojrzała na niego z roztargnieniem.

— Ach, nie — odparła. — To znaczy... — poprawiła się — ... właściwie tak. Po prostu jestem ciekawa, kto wziął „Mewę” i co tu robi.

— Umie pani żeglować?

— Naturalnie! — obruszyła się, jak gdyby Horosz powątpiewał w coś oczywistego. — Każdy w Dundee pływa już od dzieciństwa.

— W Dundee? — powtórzył Artur.

— Tak — odparła z pewną niecierpliwością. — To miasteczko w Szkocji. Mieszkalam tam przez wiele lat. Mój ojciec był Polakiem, ale matka — Szkotką. Po śmierci ojca została sama z trójką dzieci. Chciała, żebym się dalej kształciła, ale nie było za co. Wtedy pomógł stryj Michał. Profesor Malanowski to starszy brat mojego ojca — wyjaśniła. — Napisał, żebym przyjechała do niego. Wszystko załatwi, będę studiować w Polsce. Wiedziałam, że stryj nie ma własnych dzieci, ale ożenił się powtórnie, z kobietą, która miała córkę w moim mniej więcej wieku. Gdy przyjechałam do Polski, stryj zaopiekował się mną jak własnym dzieckiem. Zapisał mnie na specjalny kurs językowy, żebym udoskonalila znajomość polskiego. Potem zdałam egzamin na chemię na Politechnice Warszawskiej.

— Teraz wiem już o pani prawie wszystko — powiedział Horosz.

Patrycja rzuciła nie dopalonego papierosa do wody, wstała. Jej oczy znowu wpatrzyły się w las.

Horosz również uniósł głowę. Z gęstwiny drzew wynurzyła się naraż jakaś postać i zaczęła biec w kierunku jeziora.

— No tak — odezwała się z przekąsem Patrycja — teraz już wiem. To Monika.

Jakby dla potwierdzenia tych słów, jakiś męski głos zawołał:

— Monika! Zaczekaj! Słyszysz? Monika!

Dziewczyna obejrzała się, jednakże nie zwołniała kroku. Zatrzymała się, zdyszana, dopiero tuż nad wodą.

W przeciwieństwie do smagłej, ciemnowłosej Patrycji, Monika była blondynką tak jasną, że mimowolnie nasuwało się podejrzenie, iż nie jest to kolor naturalny. Z wyglądu przypominała Arturowi Horoszowi jego żonę. Była jednak nieco niższa i bardziej pulchna. Nosila okulary o przydymionych szklach, niebieskie żeglarskie buty do połowy łydek oraz — zamiast bluzki — niebieski opalacz.

Po chwili z lasu wyłonił się wysoki, szczupły, młody mężczyzna. Podwinęte do kolan dżinsy upodabniały go do bociana, kroczącego na długich nogach. On także, podobnie jak Monika, nosił okulary, lecz były to brązowe szkła przeciwsłoneczne w grubej kwadratowej oprawie. Kiedy się zbliżył, Artur ujrzał bardzo ciemne, prawie czarne, gładko uczesane do tyłu włosy, śniadą cerę oraz muskularne, opalone ramiona.

— Pat? Skąd się tu wzięła? — zapytała Monika. W jej głosie wyczuwało się słabo maskowaną niechęć.

Patrycja oparła się o maszt żaglówki i wzruszyła ramionami. Ona również nie wydawała się zachwycona. Horosz wyczuł, że między dziewczętami toczy się jakaś ukryta wojna, cicha, zawięta rywalizacja.

Czarnowłose chłopak był już tuż przy brzegu.

— Monika! — zawołał raz jeszcze.

Obie — Monika i Patrycja — spojrzały równocześnie w tę samą stronę i naraz Artur domyślił się, w czym rzecz. „Więc to o niego chodzi” — pomyślał, raptownie rozczarowany.

— Wybrałam się na spacer. Właśnie tutaj. No i przy okazji odkryłam, kto sobie wypożyczył „Mewę”... Przecież wiedziałas, że chciałam trochę pożeglować! Mówiłam ci o tym — powiedziała ostro. — Dlaczego to zrobiłaś?

— Ja? — zdziwiła się nieszczerze Monika. — Ależ, moja kochana, niby skąd miałam o tym wiedzieć? Kiedy schodziłam na dół wziąć lajbę, wylegiwałam się na leżaku i wyglądało na to, że śpisz. Pomyślałam więc sobie, że tak się zmęczylaś przedpołudniowym pływaniem, że nie będziesz już w stanie...

— Przeszaj! — przerwała Patrycja.
— No wiesz! — obruszyła się Monika. — Nie dość, że jesteś tu gościem, to jeszcze...
— Uspokój się — powiedział czarnowłosy chłopak.

Monika rzuciła się.
— A bo co, niby nieprawda? Mój stary jej wszystko załatwił, wszystko!

Horosz rzucił spojrzenie w kierunku Patrycji. Jej policzki gwałtownie się zaczerwieniły — z upokorzenia, a może ze złości.

Monika w tym czasie oklapła.
— Jak chcesz — rzuciła chłopakowi. Zdjęła okulary, przetarła je ręką i znów założyła. — Bruno — zwróciła się do swego towarzysza — pomóż mi przejść do łódki.

— Zdejmij kalosze — rzekł Bruno — inaczej woda przeleje ci się przez wierzch.

Monika posłusznie spełniła polecenie i — podtrzymywana pod rękę przez Bruna — wdrapała się na pokład żaglówki.

— Poznajcie się — powiedziała sucho Patrycja.

Monika wyciągnęła do Horosza dłoń — ciepłą, przyjemną w dotyku. Mimo wszystko jednak — w porównaniu chociażby z Pat — brakowało jej indywidualności oraz żywiołowości tamtej.

Monika przedstawiła się krótko.
— Cześć, Pat! — powiedział Bruno. W sposób pozornie niedostrzegalny ton jego głosu uległ jak gdyby zmianie, złagodniał i nabrał odcienia czułości.

— Cześć, Bruno! — odpowiedziała Patrycja. W niej także zaszła pewna metamorfoza. W przeciwieństwie do swego towarzysza stała się nienaturalnie ożywiona. Zaczęła dużo i głośno mówić, śmiać się. Sama usiadła przy sterze, rozdzielając władczo pozostałe role.

Wyłynęli z zatoki na jezioro. Za cyplem ruszyli szybko naprzód.

Halsowali pod wiatr. Patrycja prowadziła łódź sprawnie. Artur siedział na burcie, czując na plecach chłód, ciągnący od wody. Na przeciwległej burcie Monika trzymała za rękę Bruna. Jej oczy rzucały Patrycji jakieś osobliwe kobiece wyzwanie.

Usta Patrycji zacisnęły się w cienką kreskę. Raptownie ustawiła wiatr tak, że żagiel wzdął się i zaczął głośno łopotać.

Horosz śledził te manewry z rosnącym niepokojem. Żaglówka obróciła się wokół własnej osi, a następnie gwałtownie przechyliła na bok.

— Co robisz?! — krzyknęła Monika. — Oszalałaś?! Chcesz nas wyrzucić? Pat!

Patrycja nie słyszała. Łódź stanęła bokiem do wiatru i bokiem do fali, przechylając się jeszcze bardziej.

— Bruno! Zrób coś! — zawołała Monika. — Ona chyba zwariowała! Zabierz jej ster!

Bruno poderwał się z burty. Równocześnie zeskoczył i Artur. To właśnie spowodowało katastrofę. Żaglówka, pozbawiona raptownie balastu, przechyliła się. Maszt i żagiel znalazły się w wodzie. Mokre, ciężkie płótno pociągnęło za sobą łódź.

Wszystko stało się tak nagle, że Artur nawet nie zdążył pomyśleć, gdy już był w wodzie. Kilka metrów dalej zobaczył głowę Patrycji. Ciemne włosy oblepiały jej twarz, lecz ona nie zważając na nic szybko płynęła naprzód. Za chwilę skryła się za burtą przewróconej żaglówki.

Właśnie stamtąd doszedł nagle Horosza gwałtowny plusk, a w chwilę później zduszony okrzyk:

— Ratunku!

Ruszył z determinacją naprzód.

— Moniko! — krzyknął.

W tym momencie ujrzał Bruna, który zawołał do niego: — Pomóż mi!

Podpłynął bliżej. Bruno ciągnął bezwładne ciało Moniki. Obok znajdowała się Patrycja.

Dotarli do przewróconej żaglówki wszyscy równocześnie. Bruno chwycił się ręką burty. Drugą podtrzymywał głowę Moniki nad powierzchnią wody. Patrycja zaczęła płakać, lzy ciekły jej po policzkach.

— Ja przecież nie chciałam! Nie chciałam tego! — powtarzała w kółko.

Nad jeziorem zapadł tymczasem wieczór. Nadchodził nocny chłód. Artur zadygotał. Wydawało mu się, że woda staje się z każdą chwilą coraz bardziej zimna i że drętwieje mu całe ciało.

Zaczęli płynąć, pchając przewróconą żaglówkę w stronę brzegu. Kiedy byli już blisko, Bruno położył się na plecach i wspólnie z Arturem Horoszem zaczęli holować Monikę.

Gdy cała ta eskapada dobiegła wreszcie końca i poczuli pod nogami kawalek suchego gruntu, Horosz rzucił się wyczerpany na trawę. Od razu jednak poderwał się. „Monika — pomyślał — co z Moniką?”

Poszukiwał pulsu. Bił słabo — ale bił.

— Będzie mi pan pomagał — rzucił w kierunku Bruna.

— A Pat? — słabo zaoponował tamten.

— Da sobie radę. W razie czego zostawi łódź, a sama dopłynie do brzegu. Pan jest potrzebny tutaj.

Pochylił się nad dziewczyną i razem z Brunem zaczęli robić sztuczne oddychanie.

— Myśli pan, że ona to zrobiła specjalnie? — zapytał niespodziewanie niby bez związku Bruno. — Monika pływa słabo, a wypadek nastąpił tak nagle...

„Wypadek — powtórzył w duchu Horosz. — Oczywiście, wypadek. Tylko to — i tego wszyscy powinni się trzymać”.

— To był wypadek — rzekł. — Jestem przekonany. Wiatr był silny, uderzył z boku, a w tym samym momencie burty zostały raptownie pozbawione balastu. No i stało się...

Bruno odetchnął.

— Ja też tak myślę. Monika zrobiła głupstwo, że wypłynęła bez kapoka, a nikt z nas jej o tym nie przypomniał. Wywrotka musiała ją przerazić. Łyknęła wody raz i drugi. Dobrze, że byliśmy w pobliżu. Inaczej niechybnie utonąłaby.

Dziewczyna powoli wracała do świadomości. Horosz raz jeszcze zbadal puls i skinął głową Brunowi.

— Już pan jest tu niepotrzebny. Może pan płynąć po Patrycję. Sam dam sobie radę. Przydałyby się tylko ciepłe koce i gorąca herbata.

Bruno bezradnie pokiwał głową.

— Najbliższa wioska chyba z pięć kilometrów stąd, na drugim brzegu. Kawał drogi, do tego po ciemku. Jedyna nadzieja to to, że ktoś się w końcu zorientuje, że coś się stało i wyruszy nam na ratunek.

— Ile to może potrwać? — zapytał Horosz. Było mu zimno, szezękał zębami. Przemoczone ubranie przylepiało mu się do ciała.

— Bo ja wiem? Może pół godziny, może godzinę albo dłużej?

Bruno zanurzył się w wodę i zaczął płynąć w kierunku łodzi, przy której pozostała Pat.

Tymczasem Monika poruszyła się, jęknęła. Horosz ucieszył się. „Wraca do siebie — pomyślał — i jeśli tylko się nie przeziębii, nie dostanie zapalenia płuc, wszystko będzie dobrze. W końcu nie była przecież tak długo pod wodą”.

Coś go zastanowiło. Założywszy, że Bruno znalazł się przy Monice zaraz po wywrotce — dlaczego dziewczyna pozostawała aż tak długo nieprzytomna? Czyżby szok...? Obmacał głowę. Pod włosami odkrył dużą wypukłość.

Na moment znieruchomiał. Naraz pojął. Guz na głowie Moniki powstał najprawdopodobniej od uderzenia głową o burzę. Podejrzewanie o to Patrycji było nonsensem. A jednak... A jednak w głębi duszy Artura zatliła się wątpliwość.

Zanim jednakże zdążył przemyśleć sobie tę sprawę do końca, usłyszał plusk wiosel i spostrzegł błysk światła latarki. Poznał zwałistą postać profesora Malanowskiego.

II

W pokoju na mansardzie Justyna Horosz podeszła do okna, próbując przebić oczami ciemność. Nad wierzchołkami sosen wisiało rozgwieżdżone niebo i sierp księżycy, który odbijał się w połyskującej tafli jeziora.

Krajobraz wydał się jej obcy i groźny. Również przytulność domu, która tak ją początkowo urzekła, raptownie zniknęła. Był pełen tajemniczych szmerów i niezidentyfikowanych odgłosów, napełniających ją lękiem i złym przeczuciem.

Wydawało jej się, że słyszy trzaśnięcia desek na schodach, skrzypienie podłogi i czyjeś stąpania. Kroki zatrzymały się, z cichym szcękaniem poruszyła się klamka.

W akcie odwagi Justyna przebiegła przez pokój i otworzyła drzwi, stając twarzą w twarz z Mirą Malanowską.

— Ach — powiedziała szybko Malanowska — czy pani czasem nie obudziłam?

Justyna zaprzeczyła.

— Ależ skądże, wcale jeszcze nie spałam! Wyglądałam — przyznała — czy czasem nie widać gdzieś mojego męża. Późno już, ciemno, a jego nie ma...

— Właśnie w tej sprawie przyszłam — rzekła Malanowska. Stała nadal na korytarzu, nie kryjąc zdenerwowania. — Bo nie ma również mojej córki, Moniki. Ani jej narzeczonego, Bruna, ani Patrycji...

Justynie udzieliło się zdenerwowanie.

— Przypuszcza pani, że...? — zaczęła.

— Nic nie przypuszczam — przerwała ostro Malanowska. — Mąż po nich popłynął. Odkrył, że wzięli żagłówek, a skoro tak, to pewnie urządzili gdzieś sobie wieczorne ognisko. Jak to młodzi...

Mówiła cały czas z przekonaniem, zbyt jednak akcentowanym, aby bez zastrzeżeń uwierzyć w jego prawdziwość.

— Może pani wejdzie? — zaproponowała Justyna i odsunęła się od drzwi. — Razem raźniej będzie czekać.

— Nie, nie — odparła pospiesznie Malanowska — rozejrzę się raczej trochę po jeziorze. Zejdę nad brzeg zobaczyć, czy czasem nie wracają.

Postąpiła kilka kroków naprzód, gdy nagle niespodziewanie się odwróciła.

— A może wybrałaby się pani tam razem z mną?

— Wolałabym zostać... Jestem trochę zmęczona po podróży.

— No tak, oczywiście — zreflektowała się Malanowska.

Justyna stała jeszcze jakiś czas w drzwiach, nasłuchując skrzypienia schodów. Potem rzuciła się na łóżko. Ukryła twarz w poduszce. O dziwo, nie czuła niepokoju, ale wewnętrzną pustkę. Prawie taką samą pustkę, jak przed laty, gdy wydarzyło się coś, o czym dotychczas nie mogła zapomnieć. Wtedy to właśnie, sama nie wiedząc, kiedy i jak — zmieniła się. Zamiast szukać towarzystwa, zaczęła go unikać, stała się nieomal odludkiem.

W takiej wewnętrznej izolacji pozostawała właśnie przez cały okres studiów. Wybrała historię, ponieważ, jak jej się wydawało, właśnie historia dawała jej możliwość pewnego rodzaju ucieczki od życia, bieżących spraw... Po zrobieniu dyplomu wyjechała do Bułgarii. Tam poznała Artura Horosza... A po przyjeździe nad Bejsuny zobaczyła go z okna razem z Pat, na pomoście. W tej jednej chwili uświadomiła sobie, że poniosła ostateczną klęskę. I że ich nieudanego małżeństwa nie skłeci żaden wspólny urlop.

Trudno byłoby określić, ile czasu tak leżała, pogrążona w posępnych rozmyślaniach. Naraz usłyszała czyjeś głosy, a kiedy zbiegła na dół, ujrzała wchodzącego profesora Malanowskiego.

Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, ubrany w gruby szary sweter, w luźne spodnie treningowe i w wysokie gumowe buty rybackie. Jego ciało było masywne, dobrze umięśnione, a geste brwi, schodzące się nad nosem, nadawały twarzy wyraz zdecydowania.

Malanowski niósł na rękach Monikę. Justynie, która zobaczyła Monikę po raz pierwszy, do tego bez okularów, rzuciło się w oczy jakieś podobieństwo, które wydawało się ją łączyć z tą dziewczyną. Wrażenie jednak szybko minęło. Zmiotł je ruch, jaki od razu zapanował w całym domu. Profesor wniósł Monikę na górę. Przez hall przebiegła Malanowska z-czarną lekarską walizką. Horosz przyniósł im jeszcze koce i wreszcie wrócił do pokoju. Położył się wprawdzie do łóżka, jednakże Justyna zauważyła, że leży

z otwartymi oczami, pogrążony w rozmyślaniach. Po półgodzinie bez słowa podniósł się i wyszedł z pokoju.

Justyna odczekała, aż skrzypiące schody sprowadzą go na dół. Wtedy wysunęła się za nim.

Artur zmierzał najwidoczniej w kierunku jeziora. Justynę zastanowiło, po co. Przez moment przeleciało jej przez głowę, że może ma tam randkę z ciemnowłosą dziewczyną, z którą widziała go dziś po południu na pomoście. Postanowiła temu przeszkodzić i weszła w ślad za mężem na drewniany pomost. Deski zatrzeszczały, Artur odwrócił się.

— Co tu, u licha, robisz? — w jego głosie złość współzawodniczyła ze zniecierpliwieniem.

Justyna udawała, że tego nie zauważa. I — zamiast odpowiedzieć — sama zapytała:

— Wspomina się, co? Miłe chwile z piękną dziewczyną?

Chciała mu jakoś dopiec, lecz Artur ani myślał to znosić.

— Słuchaj — rzekł twardo — dość już tego!

— Czego niby?

— Nie udawaj! Dobrze wiesz, że już dawno powinniśmy się rozejść. Nieraz chciałem ci to zaproponować, ale jakoś wciąż nie nadarzała się odpowiednia okazja. Więc może dobrze, że właśnie dzisiaj, tutaj...

— Rozwód? — wyjąkała Justyna. — Mówisz o rozwodzie?

Mimo wszystko jeszcze przecież w głębi duszy na coś liczyła.

Artur zapalił papierosa. Żarzący się ogieniek czerwił się w ciemnościach.

Milcząc skinał głową.

— To była przygoda — rzekł po chwili. — Zwyczajna urlopowa przygoda i tak też powinniśmy na to teraz popatrzeć — położył rękę na jej ramieniu. — Słuchaj — dodał — jest mi naprawdę przykro. Ale zrozum, nie widzę innego rozwiązania...

Justyna nie chciała nic rozumieć. „To już koniec” — kołatała jej w głowie. Los mścił się na niej w paskudny sposób. Ale jak długo powinna jeszcze odpowiadać za tę historię sprzed lat? Za coś, czemu przecież nie była winna? Naprawdę nie.

— Nie — powiedziała, wtórując swoim myślom — nie zgadzam się. Nie będzie żadnego rozwodu, słyszysz? Nie, Artur — zmieniła nagle ton — proszę cię, zacznijmy wszystko od nowa. Pamiętajsz Bułgarię, wieczory nad morzem, spacer? — uczepliła się jego ramienia. — Nie zostawiaj mnie tak!

— Po co to wszystko? — zapytał. — Przecież wiesz, że cię nie kocham.

— Masz kogoś innego? — zapytała. Łzy, które przedtem nie chciały płynąć, teraz stanęły jej w oczach. — Tę dziewczynę, tę, z którą widziałam cię na pomoście? To z nią byłeś przez cały wieczór, tak? I dla niej chciałeś tu przyjechać, mam rację? Zaproszenie profesora to pretekst, tylko pretekst...

— Nie — odrzekł Artur — poznałem ją dopiero tutaj.

— Więc dlaczego? — rozpląkała się teraz w głos. — Dlaczego?

— Mam się powtarzać? Uważam nasze małżeństwo za życiową pomyłkę. Proponuję, abyśmy się rozstali jak przyjaciele. Oczywiście postaram się zabezpieczyć cię w jakiś sposób materialnie i ręczę, że nie będziesz się czuła skrzywdzona.

— Nie od ciebie nie chcę! — krzyknęła. — Ani pieniędzy, ani w ogóle nie!

— Czy to ma oznaczać, że się zgadzasz? Jeśli tak, to zaraz po przyjeździe do Warszawy pójdziemy do adwokata. Rozwód bez orzekania o winie da się szybko załatwić. Wszystkie koszty — zastrzegł — ponoszę oczywiście ja...

Justyna spojrzała na niego z kpiącym uśmiechem.

— Nie! — oświadczyła. — Nawet na to nie licz. Nigdy się nie zgodzę na rozwód. Mało tego — przy pierwszej lepszej sposobności rozgłoszę, że mnie maltretowałaś fizycznie i psychicznie. Pójdzie za tobą opinia lajdaka. Nigdy nie zrobisz kariery, o którą tak bardzo zabiegasz. Nie wygrzesz profesora Malanowskiego z jego stołka ordynatora. Ani nikogo innego. Zawsze będę ci stała na przeszkodzie. Pamiętaj — lekarz to zawód publiczny. Opinia liczy się tu bardziej niż w jakimkolwiek innym. Więc nawet nie wspominać mi o rozwodzie.

Artur zeszywniał.

— Rozumiem — rzekł. — Coś w rodzaju małego szantażu: albo — albo? Że też się wcześniej na tobie nie poznałem!

— Nic straconego — oznajmiła z pozorną beztroską. — Przed nami jeszcze wiele wspólnych lat. Będzie czas poznać się bliżej.

— Są jeszcze inne sposoby — oświadczył buńczucznie.

— Niby jakie? — zapytała drwiąco.

Nagle poczuła, że przeholowała. Poczuła także, że się boi. Boi się Artura i tego, co może się z nią teraz stać. Zaczęła się cofać. Artur wyciągnął rękę...

Straciła równowagę. Deski pomostu raptownie się skończyły. Spadła w dół. Ogarnął ją chłód wody.

— Justyna! — Artur zaniepokoił się nie na żarty. — Justyna! Odezwij się!

Milczała. Podpełzła pod pomost, kryjąc się w jego cieniu.

Artur zeskoczył z pomostu do wody. Justyna zawahała się, co dalej. Być może Artur już dostatecznie wystraszył się tym, co zaszło. Lecz jeśli jego złość i gniew jeszcze nie wyparowały do końca? Lepiej chyba zejść mu na jakiś czas z oczu.

Zanurkowała pod wodę, przepłynęła kilka metrów, oddalając się od pomostu. Potem skierowała się do brzegu, a kiedy była już blisko wynurzyła się i ślizgając się po mokrej trawie pobięła przed siebie. Gonilo ją wołanie Artura.

Weszła w las. Zdjęła ociekający wodą szlafrok i równie mokrą ciężką nocną koszulę, wyjęła je i powiedziała sobie: „No, dosyć już tego, wracam”.

Weszła na ścieżkę, prowadzącą, jak jej się wydawało, w kierunku willi na wzgórzu. W ciemności musiała jednak chyba zmylić kierunek, skoro las ani myślał się przerzedzić. Zawróciła więc i zaczęła iść spieszenie z powrotem. Lecz ścieżka niespodziewanie skrzyła i naraz Justyna zrozumiała!

— Zabłądziłam... Głupia sprawa, zabłądziłam... — powiedziała głośno, chcąc sama sobie dodać otuchy.

Nikt nie podchwycił jej słów, ani też wcale nie zrobiło się jej raźniej. Zadygotała z zimna. Uważnie rozejrzała się wokół, zastanawiając się, jak postąpić.

Niespodziewanie spostrzegła, że las przed nią zaczyna rzednąć. To ją natchnęło nowym duchem. Ruszyła naprzód, przekonana, że nawet jeżeli wybrała niewłaściwy kierunek, ścieżka, którą idzie, gdzieś ją doprowadzi.

Doprowadziła do szerszego leśnego duktu, który wiódł przez las łagodnymi zakrętami. Po dłuższym czasie drzewa wyraźnie się przerzedziły. Justyna przyspieszyła kroku. Gdzieś w przodzie, co prawda jeszcze daleko, prześwitywało jezioro.

Nie były to jednak Bejsuny, jak się spodziewała. Gdy las się urwał, a zaczęły łąki, poprzestane kępami olszyn, dostrzegła nieznane zabudowania.

Nad jeziorem znajdowała się kolonia domków campingowych. Przy drewnianej ostrodze przystani cumowało kilka kajaków i żagliwek. Na jednej z nich stał jakiś mężczyzna. Był brodaty, nosił czapkę z daszkiem, szare dżinsy i jaskrawoczer-

woną bluzę. Gdyby mu jeszcze dodać przepaskę na oko, z powodzeniem mógłby udawać pirata.

Na razie bawił się w żeglarsza. Obok niego stała kobieta, również w dżinsach oraz kraciastej bluzce z krótkimi rękawami. Była drobna, szczupła i jak jej partner ciemnowłosa. Właśnie podawała swemu towarzyszowi zwinięty żagiel. Kiedy się wyprostowała, Justyna krzyknęła:

— Halo!

Oboje obejrzeni się. Widok Justyny, na bosaka i w przemoczonym szlafroku, musiał im się prawdopodobnie wydać dość osobliwy. Jednakże żadne z nich nie zrobiło na ten temat najmniejszej uwagi. Jedynie kiedy Justyna dotarła wreszcie do przystani, obrzucili ją pytającymi spojrzeniami.

— Przepraszam, ale... — urwała. Czuli się głupio i była zmieszana. — Chciałam zapytać, czy państwo nie wiedzą czasem, jak się stąd dostać do domu profesora Malanowskiego?

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

— Niestety, nie, sami niedawno przyjechaliśmy...

Justynie zrobiło się głupio. Właściwie powinna się wycofać, pozwalając tym dwojgu zająć się ich własnymi sprawami. Jednakże musiała w końcu jakoś dotrzeć do domu. Była potwornie zmęczona i czuła, że dłużej już tego nie wytrzyma.

— Nie słyszeli państwo? Nad jeziorem Bejsuny — uzupełniła.

— Ach, nad Bejsunami... To kawał drogi stąd — we wzroku kobiety znać było ciekawość. — To jezioro to Radunie, a wioska — odwróciła się wskazując ręką — to Bieliny. Piechotą będzie pani szła i szła. Słuchaj, Andrzej — zwróciła się do swego towarzysza — a może podwieźlibyśmy panią na Bejsuny? Wodą będzie znacznie bliżej — dodała. — No, jak?

— Jeżeli państwo tak dobrzy... Ja też jestem tu dopiero drugi dzień. Wyszłam na spacer, no i... zablądziłam w lesie.

Nieznamą kobieta nie popytywała się o nic więcej. Wrzuciła do łodzi kapok i usiadła na burtce. Justyna zajęła miejsce na drewnianej podłodze. A kiedy łódź odbiła od brzegu, pomyślała: „Żeby tylko nie zasnąć...”

Ale chyba zasnęła, skoro ocknęła się dopiero na głos mężczyzny:

— To już Bejsuny, gdzie panią wysadzić?

Justyna rozejrzała się wokół trochę nieprzytomnie. Jej współtowarzysze wymienili znaczące spojrzenie, lecz nadal powstrzymywali się od pytań i od komentarzy. Była im za to wdzięczna.

Wokół jeziora rozciągały się łąsy. Brzeg, początkowo niski, stopniowo podnosił się, przechodząc w wysoki cypel, otaczający zatokę. Za nią właśnie zamajaczył czerwony dach domu Malanowskich.

— O, tam! — wskazała palcem.

Mężczyzna posłusznie zwrócił łódź we wskazanym kierunku. Po kilku minutach dopłynęli. Justyna wstała, zrobiła krok w kierunku pomostu, ale wnet poczuła, że deski uciekają jej spod stóp a niebo jakby się przybliżało.

Ocknęła się na dnie łodzi, z głową opartą o drewnianą ławkę.

— Ale nas pani wystraszyła! — powiedziała z wyrzutem kobieta.

— Co się stało? — wyszeptała Justyna.

— Słabo się pani zrobiło. Niech się pani napije trochę herbaty — rzekła podając jej termos.

Justyna wypila parę łyków.

— Już mi lepiej — oznajmiła. — Pójdę.

Chciała się podnieść, jednakże kobieta powstrzymała ją.

— Jest pani jeszcze bardzo słaba. Może się pani znów coś przytrafić po drodze, i co wtedy? Nie będzie nikogo, kto przyjdzie z pomocą.

— Ale ja muszę... — szepnęła Justyna. — Muszę wracać...

— Oczywiście. Zaraz panią odprowadzimy. Andrzej! Pomóż mi!

Oboje ujeli Justynę pod ręce i tak we trójkę dotarli na miejsce.

— Bardzo przepraszam — rzekła Justyna. — Narobiłam państwu mnóstwo kłopotu...

— Głupstwo, ważne, że jakoś panią dowieźliśmy. Dojdzie pani teraz?

— Tak — przytaknęła skwapliwie. Nie chciała, ażeby ktokolwiek ujrzał ją w tej sytuacji.

Podążyła obojgu rękę na pożegnanie, przy okazji z opóźnieniem przedstawiając się. Nie była pewna, czy usłyszeli, jednakże odwzajemnili się jej tym samym.

— Kostrzewscy — oznajmił za oboje mężczyzna.

Nie oglądając się za siebie Justyna przeszła przez ogród i nacisnęła klamkę. Drzwi były na szczęście otwarte.

III

W kilka dni po przyjeździe Horosów nad Bejsuny Artur wypłynął jak co dzień razem z profesorem Malanowskim na ryby.

Nad wodą unosiła się przejrzysta mgielka, z szuwarów właśnie ruszało na dzienny połów kilka nurków.

Horosz myślał o Patrycji, która wszystko skomplikowała. To przez nią działał zbyt nerwowo — przez nią doszło niepotrzebnie do scysji z Justyną.

Artur nie powiedział nikomu o nieobecności żony. Wrócił zresztą do domu z przekonaniem, że nie potrwa ona długo, zaś zaabsorbowanie wszystkich różnymi zabiegami przy Monice pozwoli tego nie zauważyć.

Justyna wróciła, jednakże na szczęście w sposób dyskretny. Artur ani myślał pytać, gdzie była. Rozdzielało ich wrogie milczenie, z którym pozostał Justynę w łóżku, sam schodząc na śniadanie. Po śniadaniu zaproponował Patrycji pójście razem na plażę.

— A żona? — zagadnęła.

— Jeszcze śpi — odparł. — Prosiła, żeby jej nie budzić. Może przyjdzie później.

— Żle się czuje?

— Ależ nie, chyba nie... — zaprzeczył pośpiesznie. Poczul ukłucie niepokoju. Czyżby Patrycja była świadkiem nocnej sceny między nim a Justyną?

— Więc jak, idziemy? — zapytał.

— Tak — zgodziła się — przynajmniej nikt nam nie będzie przeszkadzać.

To właśnie na plaży Artur Horosz pocałował Patrycję po raz pierwszy. Nie, właściwie było odwrotnie. To Patrycja była inicjatorką wszystkiego. Siedzieli obok siebie na pomoście i Horosz z trudem opanowywał ogarniające go pożądanie. Patrycja położyła się na wznak, głowę oparła na kolanach Artura i zapytała:

— Niech mi pan powie, ale tak naprawdę, co pan właściwie sądzi o wypadku na jeziorze?

Artur nie umiał ukryć zaskoczenia.

— Myślę, że to był nieszczęśliwy wypadek — odparł po chwili. — Traf chciał, że ja i Bruno zerwaliśmy się równocześnie, a przyszedł akurat wyjątkowo silny podmuch wiatru...

Pat roześmiała się.

— Tak pan myśli? Naprawdę? Bruno też tak uważa?

— Oczywiście, rozmawialiśmy nawet na ten temat.

Patrycja uniosła leniwie głowę i wzrokiem poszukiwała oczu Artura. Nagle zakomenderowała rozkazująco:

— Niech się pan pochyli! Bliżej! Jeszcze bliżej! Artur ani myślał się sprzeciwić.

Niespodziewanie pocałowała go mocno w usta i zarzuciła ramiona na szyję.

— Podobam ci się? — szepnęła mu do ucha. Oddech miała szybki, gorący i wydawała się równie podniecona jak Artur.

Horosz chciał ją pocałować, ale się uchyliła.

— Czekam na odpowiedź!

— Tak — wyszeptał jak szczeniak na randce do swojej pierwszej miłości. Sam siebie nie poznał.

— Więc coś ci powiem. Tobie jednemu. Ale przysięgnij, że mnie nie zdradzisz!

— Przysięgam — obiecał, podnosząc żartobliwie dwa palce.

— Ten wypadek, no, wiesz, wywrotka „Mewy”... Ja to zrobiłam umyślnie. — Odsunęła się od Artura na pewną odległość, badając wrażenie, jakie swym wyznaniem uczyniła. — Zrobiłam to umyślnie — powtórzyła — ponieważ nienawidzę Moniki. Wiedziałam, że słabo pływa... Czy wiesz, jak bardzo można kogoś nienawidzić?

— Sam przeżywam coś podobnego — rzekł wolno.

Spojrzała z nie tajonym zainteresowaniem.

— O, to już tak źle między wami? Zresztą — parsknęła — zaraz się domyśliłam. Jak tylko was zobaczyłam po raz pierwszy. Byłeś nadęty, a twoja żona przybita... Ale, ale — dodała nagle — jakby coś sobie przypominając — wiesz, że was widziałam wtedy w nocy?

— Niemożliwe! — zaprzeczył ostro. Podniecenię gdzieś odplynęło.

— A jednak! — odparła z rodzajem triumfu w głosie. — Stałście na pomoście i nagle... No, przynaj się, chciałeś ją zabić, co? Miałeś ochotę to zrobić, prawda? — podjudzała.

— Ależ skąd!

Raptownie zdał sobie sprawę z sytuacji. Jeżeli wiedziała Pat, wkrótce może się dowiedzieć również i profesor. Co wtedy? Co z pozycją w klinice?

Tymczasem Pat ciągnęła z pozorną bez troską:

— Ach, nie udawaj! Nie ma się co zgrzywać! Wczorajem, było już chyba po dziesiątej —

zeszłam nad wodę. No i stałam się mimowolnym świadkiem waszej sprzeczki. Domyślałam się, że zależy ci na tym, ażeby nie dowiedział się o niej jeszcze ktoś poza mną. Rozumiem to. Wyobrażam sobie, jak zareagowałby na to na przykład wuj... Jego ceniony adiunkt, usiłujący utopić żonę, która mu nie chce dać rozwodu...

Artur przeraził się nie na żarty.

— Słuchaj, to przecież nieprawda! Justyna sama straciła równowagę. Potknęła się i spadła do wody...

— Niepotrzebnie się tłumaczysz, i tak cię nie zdradzę. Stawiam jednak warunek. Musisz coś dla mnie zrobić.

— Wszystko — rzekł Artur. — O co chodzi?

— Musisz się we mnie zakochać.

— Skąd wiesz, czy już się tak nie stało?

— Daj spokój! — machnęła ręką. — Wcale nie o to mi chodzi. Musisz po prostu udawać, że tak jest, i okazywać to w sposób demonstracyjny. Na przykład stałe mi towarzyszyć, prawić komplementy, obrzucać mnie powłóczystym spojrzeniem... Co ja ci mam zresztą tłumaczyć? Chyba znasz te wasze różne męskie sztuczki...

— Ale po co ci to? — zainteresował się.

— Mam taki jeden cel. Dlatego masz to robić w sposób widoczny, rzucający się w oczy, wzbudzający zazdrość...

Raptnie zrozumiał. „A więc to tak — pomyślał. — Chodzi oczywiście o Bruna. Za wszelką cenę postanowiła wyrwać tego chłopaka z ramion Moniki. Nawet ciekawie będzie obserwować, czy jej się uda”. Uśmiechnął się pobłażliwie. Wydało mu się, że czeka ją zawzięta i bezpardonowa walka, w której dozwolone będą wszelkie chwyt.

Malanowski zanurzył w wodzie pióra wioseł, zaparł się silnie nogami o dno łódki i z zadowoleniem stwierdził, że fizyczna sprawność jeszcze go nie opuszcza.

Właśnie to ułatwiało mu wielogodzinne nieraz stanie przy stole operacyjnym. Do kierowania kliniką oraz nieustannego przeciwstawiania się sieci intryg i prób wysadzenia go ze stanowiska bardziej potrzebował silnych nerwów i wytrzymałości psychicznej.

Wiosłując obserwował Horosza. Zaczął pracować w jego klinice jako asystent zaraz po skończeniu studiów. Był niewątpliwie człowiekiem bardzo zdolnym. Rychło zrobił doktorat, awansował na adiunkta i otworzył przewód habilitacyjny.

Malanowski tak długo nie dostrzegał w Horo-

szu konkurenta, dopóki nie doszły go coraz natarczywiej powtarzające się plotki, że jego adiunkt mocno zabiega o powierzenie mu kierownictwa kliniki. I pewnie właśnie dlatego profesor zapragnął przyrzeć mu się po raz pierwszy dokładniej.

Odrzucił wzrok. Patrzył, jak pióra wiosel rytmicznie zanurzają się i wynurzają z wody, zostawiając za sobą smugę kropel. Czuł rzeźwiący chłód poranka, ale nie opuszczało go uczucie rozdrażnienia. Zdawał sobie sprawę z tego, że się starzeje, a sprawność jego palców się zmniejsza. Nadal zachowywał wprawdzie dużą biegłość i rutynę doświadczanego chirurga, lecz nie miał złudzeń, że tamte niepokojące symptomy uszły uwagi Horosza.

Zaprosił go więc nad Bejsuny z wyrachowania. W nadziei, że pozwoli mu to odkryć słabe punkty przeciwnika, które wykorzysta w toczony rozgrywce. Można było także samemu tworzyć, aranżować różne sytuacje. Znał siebie na tyle, iż wiedział, że kiedy zajdzie taka potrzeba, zdecyduje się na to bez większych skrupułów. A wiedział już wiele...

Mira Malanowska stała w oknie domu, obserwując łódź.

Z zawodu była pielęgniarką. Pracę miała trudną i męczącą, choć nie wyobrażała sobie siebie w innym zawodzie. Z całego otoczenia chyba jedynie Michał, jej mąż, znał to swoiste rozdwojenie jaźni i rozumiał je.

Poznali się przed dziesięcioma laty. Mira przyszła wówczas do pracy w klinice, którą kierował. Po tym wszystkim, co przeżyła, nie była w stanie dłużej pozostać w poprzednim miejscu.

W klinice nie spotkała na szczęście znajomych twarzy, które kojarzyłyby jej się nieuchronnie z dniami, o których chciała zapomnieć. Monika rosła, przeszła do następnej klasy. A kiedy minął jeszcze jakiś czas, Mira, której się wydawało, że nie będzie już mogła nikogo poślubić, wyszła za mąż za profesora Malanowskiego.

Kiedy się poznali, mieszkał samotnie po śmierci pierwszej żony. Pobrali się po okresie stosunkowo krótkiej znajomości. Jednakże ich związek — bardziej chyba dyktowany rozsądkiem i lękiem przed samotnością niż uczuciem — okazał się udany. I gdyby nie tamta historia sprzed lat, Mira prawdopodobnie czułaby się szczęśliwa. Jednakże, choćby najbardziej chciała, nie umiała wymazać jej z pamięci. Wisiało to nad nią jak stale

towarzyszący jej cień. I głównie dlatego — choć powodziło się im materialnie nie najgorzej — nie rzuciła pracy. I nie zносиła urlopów, ponieważ każdy urlop cofał ją myślami wstecz.

Łódka posuwała się wolno w stronę brzegu. Nad jeziorem nadal trwała poranna cisza, przerywana od czasu do czasu gardłowymi pohukiwaniami synogarlicy. Cichy był również dom, jeszcze nie napełniony codziennym hałasem.

Malanowscy kupili go przed dwoma laty. Kiedyś musiał być prawdopodobnie leśniczówka albo gajówka, skoro od najbliższej osady dzieliło go ponad pięć kilometrów. Dla Michała stał się wkrótce wymarzoną siedzibą, do której tęsknił w Warszawie.

Łódź dopływała do brzegu, dobijała do pomostu. W tym momencie zza drzew, zastaniających widok na spadzisty brzeg, wyloniła się jakaś postać. Malanowska poznała Patrycję i zdziwiła się. Godzina była wczesna, a Pat lubiła długo spać.

Dziewczyna wbiegła na pomost. Była zgrabna i młoda, nieprzyzwoicie młoda.

Wyciągnęła dłoń w stronę mężczyzny, który pierwszy zszedł z łódki. Przez pewien czas szli wolno wzdłuż brzegu.

Malanowska odeszła od okna. Położyła się wreszcie do łóżka. Nadspodziewanie szybko zasnęła.

Bruno Jankowski obudził się wczesnie. W jaśniejącym prostokącie okna ujrzał gałęzie rosnącej nie opodal brzozy.

Widok był właściwie zwyczajny, lecz przecież Bruno wciąż go odkrywał na nowo — każdego ranka zdziwiony, że budzi się tutaj, a nie w pokoju hotelu asystenckiego w Warszawie.

Zajmowali go we dwóch z kolegą, również asystentem. Bruno nie miał mu nic do zarzucenia, lecz marzył o chwili, kiedy po pięciu latach akademika i czterech hotelu asystenckiego znajdzie się wreszcie we własnym mieszkaniu.

Jednakże podczas którejś z rzędu wizyty w spółdzielni mieszkaniowej pozbawiono go złudzeń. Po rozmowie z prezesem Bruno po prostu i zwyczajnie upił się. Następnego dnia obudził się z piekielnym bólem głowy, na który nie skutkowały żadne proszki.

W takim stanie, wściekły sam na siebie, poszedł na uczelnię.

Grupa była niewielka, liczyła zaledwie kilkanaście osób, więcej studentów niż studentek.

Wśród tych ostatnich była Monika Malanowska.

Siedziała w ostatnim rzędzie, pomiędzy chłopakami, śmiała się, nie uważała i to wprawilo Bruna w jeszcze gorszy humor. Opanował się jednak jakoś i prowadził ćwiczenia dalej, walcząc z rosnącym bólem głowy i udając, że zachowanie dziewczyny nic go nie obchodzi. Wreszcie jednak nie wytrzymał — pod koniec zajęć poprosił Monikę, by pozostała jeszcze chwilę. Monika zacerwieniła się i uciechła.

Zaraz po ćwiczeniach sama podeszła do niego.

— Okropnie mi przykro — powiedziała — domyślałam się, że chce mnie pan porządnie objechać i ma pan rację. Przepraszam, więcej nie będę... — zrobiła błagalną minę i tym rozbroiła Bruna.

— Cieszę się — odparł, czując jak jego poprzednie zamiary rozwiewają się jak dym. Dziwnie i nie wiadomo dlaczego skrępowany, starał się ukazać wzroku dziewczyny, ale ich oczy spotkały się. I wówczas Bruno odkrył, że oczy Moniki są intensywnie niebieskie, o kolorze, jaki się już dziś rzadko spotyka.

Monika skinęła głową.

— Ja też... Obiecuję, że się poprawię.

Odwróciła się i wybiegła z sali.

Na następnych ćwiczeniach siedziała w pierwszym rzędzie, niemal prowokacyjnie wpatrując się w Bruna.

Tego samego dnia spotkali się jeszcze raz, przed uniwersytem. Marcowe słońce rozpuszczało ostatnie pryzmy śniegu. Po ulicach płynęła jeszcze brudna, zmieszana z błotem woda, jednakże chodniki były już suche, a w powietrzu czuło się wiosnę.

Na widok Moniki Bruno znów poczuł znajome mu dziwne skrępowanie.

— Już po zajęciach? — zagadnęła pierwsza Monika. — Idzie pan może w tamtą stronę? — wskazała ręką w nieokreślonym kierunku. — Pogoda dzisiaj piękna, prawda? Pomyślałam, że dobrze byłoby się przejść...

Paplała dalej, a Bruno ani jej nie powstrzymywał, ani też nie pożegnał się. Poszli Krakowskim Przedmieściem. Monika wystawiała twarz do słońca, wiatr rozwiewał jej długie, jasne włosy.

Tak doszli na Stare Miasto, gdzie Monika zaciągnęła Bruna na kawkę z winem do „Kamiennych Schodków”, a później na spacer nad Wisłę. Bruno wpadł w nastrój beztróski — czuł się lekki, szczęśliwy. Towarzystwo Moniki pocholebowało jego wewnętrzną próżność.

Doszli do jakiegoś skweru i usiedli na ławce.

Na dworze ściemniło się, ulice błyskały ze skarpy światłami latarń. Bruno czuł się jak pijany — a może rzeczywiście był trochę pijany? Monika przytuliła się do niego. Objął ją i pocałował. Usta miała ciepłe i nie wzbierała się ani chwili.

Od tej pory zaczęli się spotykać częściej. A w czerwcu, pod koniec sesji egzaminacyjnej, Monika zaskoczyła Bruna propozycją wyjazdu nad Bejsuny.

Do tej pory on sam ani nie zastanawiał się, ani nie analizował głębiej rodzaju ich znajomości. Teraz jednak... Monika powiedziała mu, że nad Bejsunami będą także jej matka oraz ojczym. Wspólny pobyt równał się w takiej sytuacji jak gdyby oficjalnemu usankcjonowaniu zaręczyn. Mimo to Bruno przyjął propozycję. Trochę go ekscytowała perspektywa spędzenia urlopu w domu znanego lekarza, jakim był profesor Malanowski.

Malanowscy wyjechali wraz z Moniką nad Bejsuny samochodem. Bruno przybył dopiero trzy dni później. Autobus PKS dowiózł go do wsi Bieliny, odległej od willi Malanowskich o dobre kilka kilometrów.

Wieś leżała również nad jeziorem, które nosiło nazwę Radunie. Pełno tam było letników, okupujących brzegi. Tu i ówdzie stały prymitywne domki campingowe.

Autobus zatrzymał się na przystanku przed kamiennym mostem, przerzuconym przez kanał. Dość szeroki, lecz krótki — kanał ten łączył jezioro Radunie z Bejsunami.

Za mostem czekała Monika. Sama prowadziła fiata. Drogę знаła dobrze i wkrótce znaleźli się na miejscu.

Malanowscy przyjęli Bruna z pewną rezerwą, choć w miarę życzliwie. Matka Moniki wskazała mu pokój na piętrze. Bruno rozlokował się, trochę skrepowany.

Tego samego dnia przy kolacji poznał Pat. Wkrótce zdał sobie sprawę z tego, że znalazł się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Od tej pory musiał uważać na każdy swój krok. A w ogóle — zastanowić się, jak się wyplątać z kabaly, w którą zabrnął. Było to wprawdzie trudne, lecz chyba możliwe.

Tak rozmyślając Bruno spostrzegł, że już świta. Przekreślił się na łożku na drugi bok, usiłując zasnąć. Jednakże nie udało mu się. Gdzieś w dole zaskrzypiały drzwi. Poczul się nagle rzeźwy i wypoczęty. Przyszła mu ochota na kąpiel w jeziorze.

Zdjął ze sznurka spodni kąpielowe i ręcznik i po cichu zszedł na dół. Przebiegł przez ogród i znalazł się na ścieżce.

Stamtąd właśnie zobaczył łódkę, dobijającą do brzegu. Poznał profesora Malanowskiego i Artura Horosza. Horosz był młodszy od swego towarzysza o dobre dwadzieścia lat. Ubrany jedynie w pasiaste kąpielówki, wystawiał plecy do słońca. Nawet z daleka widać było jego rudawe włosy i wąską, podłużną głowę.

Bruno nie mógł powiedzieć, aby jego stosunek do Artura Horosza można było nazwać sympatią. Prędzej była to słabo tajona antypatia, na dnie której leżała skryta rywalizacja o względy Pat.

Obecnie ujrzał Pat na pomoście. Stała, machając przyjaźnie ręką w stronę łódki. Horosz doprowadził łódkę do pomostu. Pat podała mu rękę, pomagając się wdrapać na deski. Następnie oboje w najlepszej komitywie poszli wolno brzegiem jeziora.

Bruno poczuł, że ogarnia go wścickłość. Zbiegł na dół i rzucił się do wody. Pływał długo, jakby to miało mu pomóc opanować własne uczucia.

Patrycja, która szła w tym czasie z Arturem brzegiem jeziora, czuła się upojona słonecznym rankiem i pełna satysfakcji. Wszystko układało się tak, jak zaplanowała. Domyślała się, że im bardziej afiszuje się z Horoszem, tym bardziej wzbudza to zazdrość w Brunie.

Słyszała o nim od dość dawna. Właściwie od dnia, kiedy to Monika, wróciwszy późno do domu, obudziła kuzynkę i szcękając zwierzyła się jej, że chyba jest zakochana.

Wtedy też pierwszy raz padło imię Bruna. Nieco później Monika pokazała Patrycji zdjęcie. Przedstawiało przystojnego, czarnowłosego mężczyznę w typie, w jakim gustowała.

— A więc to jest twój Bruno... Zupełnie niezły — przyznała. Zerknęła niby przypadkiem na dedykację. Jednakże Monika wyrwała jej fotografię z takim wyrazem twarzy, jak gdyby strzegła czegoś, co stanowi jedynie jej własność.

Taki zresztą — zachłanny i zaborczy — był i stosunek Moniki do Bruna.

Patrycja nie mogłaby się wyprzeć, że Bruno spodobał się jej już od pierwszego wejrzenia. Miał trochę południową urodę, podobnie jak ona sama, i to ją w nim pociągało.

Zobaczyła go jednak po raz pierwszy nad Bejsunami. Monika widać uznała, że jej znajomość z Brunem jest już zbyt zaawansowana, by jej cokolwiek zagroziło, a weszła w etap, w którym chciała się pochwalić przed otoczeniem swoim chłopcem.

„Czeka ją zawód” — pomyślała wówczas Patrycja. Już w chwili, gdy się poznali, dostrzegła w oczach Bruna coś więcej, aniżeli zwykle zaciękanie. Sama również poczuła nagłe drgnienie serca. Śwoboda, z jaką zwykle prowadziła rozmowę, stała się naraz sztuczna.

W ciągu najbliższych dni miała okazję przekonać się, że nie jest Brunowi obojętna. Wówczas zrozumiała, że tak naprawdę to nie cierpi Moniki, z którą Bruno czuł się nadal związany, a zarazem skrępowany dwuznacznością sytuacji, w jakiej się niespodziewanie znalazł.

Monika zatem — i tylko ona — była jedyną przeszkodą, którą należało usunąć. Patrycja bowiem czuła, że Bruno sam nie upora się z tym problemem...

Podczas kiedy rozważała sobie to wszystko, spacerując w towarzystwie Horosza nad jeziorem, Bruno uznał, że dość już porannej kąpeli. Zamachał im ręką i zaczął płynąć w ich kierunku. Patrycja zatrzymała się i nie zważając na wyraźne niezadowolenie, malujące się na twarzy Artura, zaczęła, aż Bruno podpłynął.

Monika zobaczyła ich z okna, które otwarła na oścież, pozwalając, by wiatr chłodził jej twarz.

W szafie leżała lornetka. Monika chwyciła ją i nastawiła ostrość. Brzegiem szli Patrycja z Horoszem, do których dołączył wkrótce Bruno.

Monika nie mogła oderwać oczu od lornetki. „To Pat — pomyślała z nienawiścią. — Pat jest wszystkiemu winna”.

Od razu, gdy tylko pojawiła się w ich domu ta angielsko-polska kuzynka, Monika poczuła do niej intuicyjną antypatię. Teraz to było już coś więcej. Monika po prostu organicznie nie znosiła Patrycji. Doszło do tego, że mogłaby ją z zimną krwią zamordować. „Tak, właśnie tak — pomyślała z osobliwym wyzwaniem — a dlaczego by nie?” Dlaczego Patrycja miałaby jej bezkarnie zabrać Bruna, który wszak należał do niej i tylko do niej?

Jej policzki płonęły. Z każdym dniem, upływającym w domu nad Bejsunami, utwierdzała się w przekonaniu, że i Pat prawdopodobnie odwzajemniała te uczucia. Przeczuwała, że wywrotka łodzi, która się im przytrafiła na jeziorze, wcale nie była dziełem przypadku, zbyt silnego wiatru czy zwykłej nieuwagi. Było to celowe działanie, świadomy zamiar. W końcu Patrycja wiedziała przecież, że jej kuzynka nie umie pływać. A więc należało to odeztywać jednoznacznie. Pat po

prostu chciała ją zabić — chciała, aby zniknęła, utonęła i aby położono to później na karb nieszczęśliwego wypadku.

Wyobraźnia podsuwała Monice coraz to nowe obrazy. Nie mogła już znieść własnych myśli. Musiała coś postanowić, coś zrobić, zacząć działać. Walczyć — bronią taką samą, jak Patrycja. Wtedy właśnie doszła do wniosku, że jeśli zabije Pat, z pewnością nie odczuje żadnych wyrzutów sumienia.

IV

Elżbieta Kostrzewska i jej mąż Andrzej stali na przystani nad jeziorem Radunie, takielując żaglówkę.

Gdy wypływali, niebo, dotąd pogodne, zasnuło się szarą mgiełką i zaczął padać drobny deszcz. Ruszyli, halsując pod wiatr, w stronę jeziora Bejsuny, oddzielonego od Raduni kanałem.

To Elżbieta wpadła na pomysł, ażeby wybrać się do willi Małanowskich nad Bejsunami. Osoba profesora, u którego jeszcze jako studentka medycyny zdawała egzamin z chirurgii, nie była jej obca. W głębi ducha intrygowało ją jednak głównie spotkanie z nieznajomą, zabraną niedawno z przystani w dość niezwykłych okolicznościach. Co ją wówczas skłoniło do owej oryginalnej eskapady w szlafroku — i jak się teraz czuje?

Wraz z padającym deszczem powietrze się oziębiło, więc kiedy wreszcie łódź przybiła do pomostu, Elżbieta dygotała z zimna mimo swetra i nieprzemakalnej kurtki.

Furtka stała otworem. Zaledwie jednak Kostrzewscy przeszli kilka kroków, otworzyły się drzwi i w progu stanął profesor Małanowski.

„Nie poznaje mnie — pomyślała Elżbieta — i nie powinnam się temu dziwić. W końcu to tyle już lat... I czy ja jedna zdawałam u niego?” Przewyciężając nagle zakłopotanie, odezwała się:

— Bardzo przepraszam, panie profesorze, że niepokoiimy, chcieliśmy się tylko dowiedzieć...

— Pani mnie zna? — przerwał jej Małanowski. Na jego twarzy odbiło się zaskoczenie.

— Byłam kiedyś pańską studentką, do tej pory wspominam egzaminy u pana profesora...

— Ach, tak — powiedział uprzejmie Małanowski — mam nadzieję, że nie zapisałem się źle w pani pamięci.

— Ależ skądże! — odparła. — Wprost przeciwnie, wiele się dzięki panu nauczyłam. Pracując obecnie w Szpitalu Bródnowskim — wyjaśniła. — Tutaj jestem na urlopie. A to mój mąż...

Andrzej Kostrzewski przedstawił się, mrucząc pod nosem nazwisko.

— Dowiedzieliśmy się, że pan profesor także tu spędza urlop — ciągnęła Elżbieta.

— Bardzo mi miło — stwierdził Malanowski. — Czyżbym był osobistością aż tak popularną?

— Właściwie przyszliśmy w innej sprawie...

— Słucham. A może — Malanowski jakby nagle się zorientował, że stoją na dworze, moknąc na deszczu — może wejdziemy do środka?

Willa przywitała ich przyjemnym ciepłem. Na dole, w hallu, stał włączony telewizor, przed którym siedziało kilka osób.

Malanowski przeprowadził Kostrzewskich przez hall i otworzył drzwi do pokoju, umeblowanego w stylu rustykalnym, z zydlami, na których leżały kolorowe poduszki.

— Więc? — spytał. — Co państwa do mnie sprowadza?

— Prawdę mówiąc, błahostka... — odparła Elżbieta.

— Jakiś tydzień temu podwieźliśmy tutaj łodzią pewną panią — wyjaśnił Kostrzewski. — Opowiadała, że spędza tu urlop. Nie czuła się jednak wówczas dobrze, zemdląła, no i uznaliśmy, że wypada zapytać...

Profesor okazał wyraźne zaniepokojenie.

— O kogo państwu chodzi? Nic mi nie wiadomo o takim zdarzeniu. Nikt mi nawet nie wspominał.

— Jasna blondynka, średniego wzrostu...

— Monika? — zdziwił się. — Mówią państwo o mojej córce?

Otworzył drzwi i zawołał:

— Moniko, chodź tutaj!

W pierwszej chwili Elżbiecie wydało się, że ma rzeczywiście przed sobą nieznaną z przystani. Dziewczyna stojąca w drzwiach była również jasną blondynką o długich włosach i dużych oczach. Miała podobną figurę, a kolor włosów i sposób ich uczesania niemal identyczne. Ale to nie była ta sama osoba.

Elżbieta pokręciła przecząco głową.

— Nie — rzekła.

— O co chodzi? — zagadnęła Monika.

Malanowski posłał jej znaczące spojrzenie.

— Jeżeli nie o ciebie, to chyba tylko o...

Monika przerwała mu w pół słowa.

— Czy to może w sprawie Justyny Horosz? Jeżeli tak, od razu możemy państwa uspokoić: nic się jej nie stało. Zresztą już wyjechała do domu.

— Wyjechała? — spytał Kostrzewski.

— Owszem — przyznał profesor.

— Powiedzmy wszystko, tato! — zażądała niespodziewanie Monika. — Jeżeli ci państwo są znajomymi Justyny, dobrze byłoby, żeby powtórzyli jej przy okazji, co sądzą o tego rodzaju manierach. A prawda jest taka, że wczoraj, podczas wycieczki, jaką zrobiliśmy do poniemieckich bunkrów, Justyna Horosz podobno pokłóciła się z mężem. I zażądała niespodziewanie, ażeby ten odwiózł ją na przystanek pakaesu w Bielinach. Bez uprzedzenia kogokolwiek z nas, bez pożegnania, nie mówiąc już o takiej drobnostce jak podziękowanie za dotychczasową gościnę!

Monika była wyraźnie autentycznie oburzona. Jej ojciec okazał się bardziej wyrozumiały.

— No, no, Moniko — odczuwał się strofująco — nie sądź zaraz ludzi tak ostro. Może rzeczywiście miała jakieś ważne powody, żeby tak postąpić?

Elżbieta przysłuchiwała się tej wymianie zdań z pewnym zakłopotaniem. Chcąc je rozładować, spytała:

— Udana była chociaż ta wycieczka?

— O, tak! — zawołała Monika, chyba również rada ze zmiany tematu. — Chyba pani słyszała o bunkrach w Brzozowie? Trzy rzędy betonowych fortyfikacji, każda na wysokość piętrowego domu. Między bunkrami — ślady po dawnej fosie i gigantyczne odłamy betonu, pomiędzy którymi zdążyły już powyrastać wysokie drzewa. Wewnątrz istne labirynty przejść, gdzie trzeba się przedzierać z latarką. A wszystko ma takie wymiary, że chodząc po tamtym terenie od popołudnia prawie do późnego wieczora, prawdopodobnie poznaliśmy niewielką jedynie część!

Była wyraźnie zafascynowana. Malanowski chyba dzielił to zainteresowanie, bo również włączył się do rozmowy.

— Krąży na ten temat mnóstwo różnych wiadomości — rzekł. Jego inteligentne oczy jakby sprawdzały, czy się go słucha. — Niektórzy twierdzą, że to właśnie tutaj miał znajdować się ongiś olbrzymi magazyn amunicji, przeznaczony przez Niemców na zaopatrzenie wschodniego frontu. Inni umieszczają tu na odmianę kwatery wyższych wojskowych Wehrmachtu, wśród nich przede wszystkim generała Jodła. Za pomocą starannie zamaskowanego kabla telefonicznego

rzekomo łączyła się ona z „Wilczym szansem” Hitlera. Jeszcze inni rozbudowują tę wersję i twierdzą, że to właśnie tutaj znajdowała się jedna z tajnych kwater Führera, a do „Wilczego szanca” prowadził stąd zasypane obecnie tunele. Jakkolwiek by było, cały ten obiekt na pewno jest i ciekawy, i nie zbadany do końca. Podobno jeszcze w latach sześćdziesiątych jakiś szperacz-amator wydobyl z gruzów szczątki ogniotrwalej kasy pancernej. Czy jednak były w niej jakieś dokumenty, tego naprawdę już dziś nikt nie wie...

Elżbieta opuszczała dom profesora Malanowskiego z mieszanymi uczuciami. Gdyby nie osobliwe okoliczności niedawnego porannego spotkania z kobietą w szlafroku, przypuszczalnie potraktowałyby wszystko, co usłyszała tutaj na jej temat, w sposób naturalny. Trudno było jednak o nich zapomnieć i to sprawiło, że już z góry nastawiła się nieufnie.

Jej podejrzenia wzrosły, gdy prosto z przystani nad Raduniami, dokąd wrócili, cumując żaglówkę, poszła sprawdzić rozkład jazdy autobusów na przystanku PKS w Bielcinach. Ostatni autobus odchodził stąd o trzeciej po południu. Następny był dopiero o szóstej z minutami rano. Tymczasem córka profesora Malanowskiego mówiła, że wycieczka trwała od godzin popołudniowych do wieczora. Coś więc się tu nie zgadzało.

„Może pojechała po prostu okazją lub autostopem? — pomyślała Elżbieta, lecz w głębi ducha sama w to nie wierzyła. — A czy czekałaby całą noc na przystanku na pierwszy poranny kurs?”

Na wszelki wypadek przepytowała jeszcze kilka osób na campingu i we wsi. W sposób dość szczegółowy opisała Justynę, jednakże nikt tu jej nie widział.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej uderzał ją ów nagły wyjazd bez pożegnania, o którym opowiadał profesor. Bez pożegnania, a nawet bez powrotu do domu, chociażby dla zabrania rzeczy? Osobliwe, chociaż i takie sytuacje przecież się zdarzają. Czy nie zbyt łatwo uwierzono w wersję, podaną przez Horosza?

Przez pewien czas zastanawiała się, czy warto dłużej zajmować się tą historią. Była przecież na urlopie, a wszystko dotyczyło ludzi poznanych przelotnie lub znanych jedynie z relacji z drugich ust. No i podejrzenia, którym uległa, także mogły się okazać tylko wytworem własnej bujnej wyobraźni. Że jednak wierzyła w coś takiego jak intuicja, postanowiła zadzwonić do Warszawy i opowiedzieć o wszystkim swemu znajomemu, Markowi Wanackiemu.

Przeniesiony w ramach awansu służbowego ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych do Biura Kryminalnego Komendy Głównej MO major Marek Wanacki miał czterdzieści jeden lat, żonę Kamilę i córkę Małgorzatę, która pasjonowała się rockiem. Miał także serdecznie dosyć różnych niezmiernie ważnych narad i zebrań, na których wysiadywał z coraz większym trudem.

Był nimi już tak zmęczony, że potraktował telefon Elżbiety jako szansę chwilowej chociażby odmiany.

Dzwoniła z jakiejś zabitej deskami urlopowej miejscowości na Mazurach i ledwie ją słyszał. Mimo to poznał natychmiast jej głos. Co prawda ich znajomość, ongiś bliska, od dawna już przybrała formę niezobowiązującej sympatii, ale tak całkowicie się nie zapomnieli i nie zerwali kontaktów. Nawet wówczas, kiedy Elżbieta wyszła za męża, a Wanacki się ożenił.

Początkowo trudno mu było pojąć, o co chodzi. Elżbieta mówiła o jakiejś przypadkowo poznanej kobiecie, o poniemieckich bunkrach, o wyjeździe, który budzi podejrzenia, oraz o willi nad jeziorem.

Naraz zateśknął za Mazurami i za wyjazdem z Warszawy. A także, niespodziewanie, za Elżbietą. Obiecał, że postara się wyrwać na weekend i wiedział, że będzie robił wszystko, by mu się to udało.

Przyrzeczenia dotrzymał. Kamilę, swojej żonę, oznajmił, że wyjeżdża służbowo. Z pracy wyszedł wcześniej, tak że do Bielin dojechał jeszcze przed zmierzchem.

Elżbieta czekała obok mostu nad kanałem, łączącym dwa duże jeziora. Nad jednym z nich znajdował się camping.

Wjechali, zatrzymując się przed dużym namiotem, przed którym stał stół i kilka krzeseł. Nad stołem wisiała duża lampa, oświetlając butelkę czerwonego wina oraz fajansową wazę. Nie opodał płonęło ognisko, przy którym krzątał się wysoki, trochę przygarbiony mężczyzna. Ubrany w dżinsy i gruby czarny sweter, trzymał w ręku menażkę z czymś parującym, co wydawało smakowity zapach.

— Elu! — zawołał. — Proś gościa na przebój naszego domu! — postawił menażkę na stoliku. — Prosimy się częstować!

Odkorkował butelkę, nalał wina i przełożył przyniesioną potrawę do salaterki.

— Pańskie zdrowie! — rzekł, unosząc kieliszek

w stronę Wanackiego. Jego oczy miały przyjazny wyraz. Zachowywał się z taką bezpośredniością, jakby znali się od lat.

Zupa gulaszowa pod czerwone wino była oczywiście znakomita. Elżbieta wyniosła jeszcze z namiotu blaszane pudełko, pełne domowych herbatników.

— Cieszę się, że pan przyjechał — powiedział Kostrzewski. — Ela mówiła mi, że pracuje pan w milicji i była zdania, że właśnie kogoś takiego jak pan tu teraz potrzeba. Elu, opowiedziałaś panu wszystko? — zwrócił się do żony. Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął paczkę papierosów. — Zapali pan?

Wanacki wziął papierosa. Zmęczenie podróży gdzieś się ulotniło.

— Zainteresujesz się tym? — spytała Elżbieta.

— Może... — obiecał, wydychając dym. Nie chciało mu się w tej chwili o niczym myśleć, a co dopiero zajmować czymś zagadkowym wyjazdem. Elżbieta jednak w żadnym wypadku nie powinna się dowiedzieć, że potraktował jej telefon jako pretekst do przyjazdu tutaj.

— Opowiedz jeszcze raz, o co chodzi — zaproponował.

Kiedy mówiła, obserwował ją ukradkiem. Nie znalazł w niej już co prawda owego młodzieńczego, nieco naiwnego wdzięku, który go kiedyś tak pociągał. Była dojrzałą kobietą. Lecz nadal zachowała szczupłą, drobną sylwetkę i twarz na razie bez zmarszczek i podpuchniętych oczu, zapowiadających czas przekwitania.

Mimo że słuchał trochę nieuważnie, zaciekawiła go relacja o poniemieckich bunkrach. Sam podjął ten temat i spytał:

— To kiedy oni byli tam na wycieczce?

— Czekaj, obliczę — powiedziała Elżbieta. — Dziś mamy piątek wieczór, dzwoniłam do ciebie w czwartek, u profesora Malanowskiego byliśmy z Andrzejem we środę. A więc — we wtorek. Podobno spędzili tam czas od popołudnia do późnego wieczora. Tak by w każdym razie wynikało ze słów córki Malanowskiego...

Urwala i rzuciła Wanackiemu pytające spojrzenie.

— Chciałbyś się może tam wybrać?

Nie zastanawiał się ani chwili.

V

Pełna wybojów i zapadlin droga zaprowadziła ich daleko w głąb lasu. W chwilę po opuszczeniu samochodu wpadli niemal dosłownie w gąszcz klujących jeżyn. Dalej ścieżka była zasypana gruzem, usiana kawałkami betonowych płyt i pełna wysokiego zielska o miodowożółtych kwiatach. Wanacki dostrzegł jeszcze filary zniszczonego mostu nad bagnistą strugą. Za mostem droga urywała się, zagrodzona ogromną betonową budowlą, wmurowaną w jedno z wysokich wzgórz. Miała wysokość co najmniej trzech pięter, a jej strop porastały drzewa, krzaki i wysoka trawa. Z góry zapewne nikt by nie dostrzegł, co się pod nimi kryje.

Elżbieta zaproponowała, ażeby wejść do środka, do któregoś z korytarzy. Z zapaloną latarką poszła naprzód, na spotkanie oślizgłych, wilgotnych ścian, kropli spadających ze stropów, błotnistej dna zalanego wodą i tajemniczych odnóg przejść, prowadzących w nieznaną. W niektórych miejscach korytarz obniżał się tak bardzo, że trzeba było się posuwać niemal na czworakach. W innych kończył się niespodziewanie ślepo, rumowiskiem gruzów. Po obu stronach znajdowały się mniej lub bardziej zniszczone pomieszczenia bez okien. Gdzieniedzie zwisały tam jeszcze resztki pozrywanych, przegniłych instalacji.

Po godzinie mieli dość. Kostrzewski pierwszy dał sygnał do wyjścia. Wydostali się na światło dzienne. Słońce nieomal ich oślepiło.

Elżbieta wyciągnęła się na trawie, patrząc leniwie w niebo. Jej mąż zapalił papierosa i usadowił się obok.

Wanacki poczuł się naraz intruzem. Tym trzećim, chwilowo zbędnym. Wstał i poszedł w kierunku ciemniejącej opodal najwyższej budowli. Szare, grube mury rzucały rozległy cień na ziemię. W dole leżały pokruszone jak wszędzie wokół resztki betonowego podłoża. W niektórych miejscach było ono jednak jak gdyby odrobinę ciemniejsze, usiane plamkami niczym porozgniatanymi świeżymi owocami jarzębiny.

Poszedł tym tropem, który zaprowadził go pomiędzy klujące krzaki berberysu i jeżyn. Niektóre z ich gałązek były połamane, inne poprzygnane ku ziemi.

Natrafiał na zwalisko głazów, na którym zachowały się jeszcze resztki przerdzewiałej, żelaznej drabinki. Wspiął się do góry.

Ujrzał wyrwy i leje, powstałe po wysadzeniu bunkrów w powietrze. W porowatych zagłębieniach i szczelinach betonu znów pojawiła się, lepiej widoczna z góry, mozaika brunatnych plam, których, z racji ich położenia w osłoniętych miejscach, nie zdołał rozmyć deszcz, padający przed kilku dniami.

W rozpadlinach stała woda, podciekająca z rozległego bagna. Pomiedzy wysokimi kępami traw widać było rdzawe tłuste plamy.

Wanacki szedł na dół, gdzie zauważył, że plamy urywają się na granicy zdradzieckiego, grząskiego gruntu. Był to jak gdyby wystający język bagien, dochodzący w tym miejscu nieomal aż pod same bunkry. Na jego skraju zaczynała się wąska, uginająca się trytew, biegnąca dalej środkiem mokradel. Dochodził stamtąd przenikliwy zapach wilgoci i rechot żab. Skądś podniosło się stado dzikich kaczek, poszybował jastrząb.

Wanacki ostrożnie zbliżył się do brzegu rozlewiska i spojrzał w jego głąb. Zobaczył jednak jedynie swoje odbicie. Woda była mętna, ciemna i nieprzejrzysta. Rozglądał się za jakąś gałęzią? za pomocą której mógłby zbadać, jak jest głęboka, gdy usłyszał głos Elżbiety:

— O, jak tu romantycznie! — zawołała podchodząc. — I jakie wspaniałe powietrze!

— Po naszym, warszawskim wszystko może się wydawać balsamem.

— Nie bądź zawsze taki nieznośnie rzeczowy — zganiała go. I zaraz zaproponowała: — Może poszlibyśmy kawałek dalej?

Nie czekając na odpowiedź ruszyła naprzód.

— No, chodź! — zawołała. Odwróciła się i pomachała zachęcająco ręką.

W tym momencie zaszło coś nieoczekiwanego. Wyglądało to tak, jak gdyby Elżbieta, do tej pory stąpająca po dość pewnym gruncie, nagle zawierzyla zdradliwej warstwie mchu i trawy zbyt cienkiej, ażeby ją utrzymać. Wanacki spostrzegł, że kobieta zapada się.

— Ratunku! — krzyknęła. — Marck!

Usiłowała wyciągnąć uwięzione stopy, lecz to nic nie dawało.

— Nie ruszaj się! — rozkazał Wanacki.

Odłamał kilka gałęzi z krzaków, rosnących na skraju rozlewiska i wyciągnął je w stronę Elżbiety.

— Złap się! Mocno!

Gałęzie były cienkie i łamliwe, ale po chwili Elżbieta znowu stała na twardym gruncie grobli.

Drżała z zimna i emocji. Potem spojrzała na swoje nogi, oblepione błotem aż po kolana, na zabłoconą sukienkę — i roześmiała się.

— Ale się najadłam strachu! — przyznała.

— A ja to niby co? Wypraszam sobie na przyszłość takie niespodzianki! Chcesz, żebym dostał zawału?

Niby też się śmiał, lecz bez przekonania.

— No, no, nie złość się! Grunt, że się wszystko dobrze skończyło — powiedziała ugodowo. — Na przyszłość będę ostrożniejsza, obiecuję. Chodźmy, muszę się gdzieś trochę umyć i doprowadzić jako tako do porządku. Po co Andrzej ma mi potem robić sceny, że się tarzałam w błocie?

Tym razem już ostrożnie siadła na brzegu rozlewiska.

Zdjęła sandały, podniosła wysoko sukienkę i opuściła obie nogi do wody.

Nagle wzdrygnęła się z przestrawieniem.

— O Boże! Marek, zobacz, tam coś jest!

W rozlewisku w warstwie mułu leżał trup kobiety, przyciśnięty potrzaskanymi kawałkami płyt i kamieniami.

W Bielinach nie było posterunku milicji, a tamtejszy sołtys dysponował jedynie archaicznym aparatem na korbkę. Fakt, że poprzez ten ostatni przebój techniki minionego stulecia Wanacki jednak jakoś w końcu połączył się z Suwałkami, można było z powodzeniem zaliczyć do kategorii cudów. Cuda zdarzają się jednak sporadycznie; Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Suwałkach nie dysponował niestety helikopterem, aby zapewnić szybkie przybycie ekipy śledczej.

Gdy wreszcie przybyła po blisko dwóch godzinach, Wanacki poczekał na wstępne wyniki oględzin zwłok, a potem pojechał do willi nad Bejsunami.

Elżbieta wytłumaczyła mu dość dokładnie, jak tam trafić, więc udało mu się nie zablądzić i wkrótce znalazł się na miejscu.

W ogrodzie dostrzegł rudawego mężczyznę w krótkich szortach, odslaniających zupełnie pozbawione opalenizny nogi. Mężczyzna grał w komatkę z młodą ciemnowłosą dziewczyną. Ona właśnie wybiegła Wanackiemu naprzeciw.

— Pan do nas?

— Szukam pana Horosza.

— To ja — odezwał się rudawy mężczyzna. Z raketką w ręku zbliżył się do Wanackiego. — O co chodzi?

Wanacki wyjął legitymację.

— Milicja? — zdziwił się Horosz. — A... w jakiej sprawie?

Wanacki zawahał się. Elżbieta zapewniała go wprawdzie, że kobieta z rozlewiska do złudzenia przypomina tamtą nieznaną z przystani, pewnością jednak na razie nie było...

— Chodzi o złożenie pewnych wyjaśnień.

Horosz rozejrzał się dokoła, jakby w oczekiwaniu na wsparcie ze strony dziewczyny. Ta jednak milczała. Wzruszył więc ramionami, zrobił obrażoną minę i już bez słowa zajął miejsce w samochodzie.

W drodze do bunkrów nie odezwał się ani słowem. Gdy się wreszcie zatrzymali, spojrzal pytająco na Wanackiego.

— Po co mnie pan tu przywiózł?

— Naprawdę pan nie wie?

— Nie mam pojęcia.

Był błądy, lecz opanowany — do momentu, gdy nie stanęli na brzegu wodnej niecki. Kiedy pochylił się w chwilę później nad ciałem — twarz mu zzieleniała, w oczach pojawił się wyraz niedowierzania.

— Czy zna pan tę kobietę? — spytał Wanacki.

Wargi Horosza zadygotowały.

— To Justyna, moja żona... — wykrztusił wreszcie. Zbladł tak, iż Wanacki przestraszył się, że za moment zemdleje.

Elżbieta to pewnie również zauważyła, skoro podeszła bliżej i biorąc Horosza pod ramię odprowadziła go dalej.

Artur przysiadł na pokruszonym betonie. Ukrył głowę w dłoniach, kolysząc nią w obie strony.

Wanacki podszedł po chwili.

— Przykro mi — rzekł — ale sam pan chyba rozumie... Muszę zadać kilka pytań...

Horosz opuścił ręce. Powieki miał przekrwione, oczy wyblakłe, lecz suche. Przesunął językiem po wargach.

— Co pan chce wiedzieć?

— Kiedy widział pan żonę po raz ostatni?

— Dokładnie trzy dni temu. Odwiozłem ją samochodem do Bielin, na przystanek autobusu PKS...

Głos miał już bardziej normalny, lecz nadal nie mógł opanować drżenia rąk.

— O której to było godzinie?

— Około siódmej... Siódma, w pół do ósmej...

— Jest pan pewien? O tej porze nie odchodzi z Bielin żaden autobus. Ostatni jest o trzeciej, następny dopiero rano.

— Nie patrzyłem na rozkład jazdy — powiedział szybko — więc skąd to mogłem wiedzieć?

— I mimo to ot tak, beztrósko, pozostawił pan żonę?

— Wiem, że może się to wydać nieprawdopodobne, ale tak właśnie było. Posprzecaliśmy się i żona w dość kategoriyczny sposób zażądała, ażeby ją odwieźć do pekaesu, ponieważ wyjeżdża — mówił ze wzrokiem wbitym w ziemię. — Justyna jest... była — poprawił się — osobą nerwową, reagującą niezmiernie impulsywnie. Przypisywać można by to ciężkim przeżyciom, które kiedyś podobno miała. Zdaje się, że gdy była młodą dziewczyną, popełnił samobójstwo jakiś jej bliski kolega. Niewiele co prawda wiem... Justyna unikała tego tematu. Z takich czy innych półsłówek mogłem jednak wywnioskować, że stało się to w jakichś dramatycznych okolicznościach i że Justyna bardzo to wszystko przeżyła. W każdym razie zachowywała się nieraz dziwnie.

— Czy kiedyś zdarzyło się już coś podobnego?

— Taka ucieczka? Owszem, i to kilkakrotnie. Zawsze zresztą sprawy miały podobny przebieg. Po krótkim czasie Justyna przytomniała i po prostu, jak gdyby nigdy nic, wracała do domu. Ja zaś udawałem, że nic się nie stało. Podobnie miałem zamiar postąpić i teraz. Byłem pewien, że jeśli nawet Justyna nie wróci od razu, a zatrzyma się na przykład u którejś ze swoich przyjaciółek, i tak przyjedzie po trzech, czterech dniach.

— Ale do żadnej z tych przyjaciółek pan nawet nie zadzwonił? Nie chciał pan dowiedzieć się, co się dzieje z pana żoną? Czy czasem nie stało się jej coś złego?

— Po pierwsze nie wiedziałem, dokąd pojechała i u kogo ewentualnie się zatrzymała. Po drugie nie znam ani telefonów, ani adresów jej koleżanek. Więc jak miałem szukać? Po omacku? Liczyłem, że czas sam wszystko wyjaśni. I jeszcze jedno. Nie widziałem potrzeby robienia sensacji. Powiedziałem więc jedynie, że wyjechała. To wystarczyło. Nikt się specjalnie nie dopytywał o szczegóły. Odnoszę zresztą wrażenie, że nikogo one zbytnio nie interesowały. Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami.

— Jak jednak wytłumaczy pan fakt, że znaleźliśmy jej ciało właśnie tutaj?

— Przypuszczam, że wróciła tu z przystanku autobusowego. Może myślała, że nas jeszcze zastanie i nikt nawet nie zauważy jej nieobecności? Nie wiem, naprawdę nie wiem... Byliśmy całą grupą na wycieczce, penetrowaliśmy bunkry... Po odwiezieniu Justyny na przystanek przyjechałem tu z powrotem samochodem.

— I nikt nie zauważył pańskiego chwilowego zniknięcia? — zdziwił się Wanacki.

— Urządziliśmy zabawę w chowanego — wyznał Horosz. Był zmieszany, jakby zmuszono go do wyznania czegoś niestosownego. — Pat, to znaczy jedna z uczestniczek wycieczki, zaproponowała coś takiego. Reszta towarzystwa potraktowała to początkowo jako żart. Jednakże Pat postawiła nas po prostu przed faktem dokonanym. Schowała się, a o dobrą kryjówkę w tych labiryntach nietrudno, no i zmusiła nas w końcu do tego, aby jej szukać. Wtedy właśnie pogubiliśmy się i potraciliśmy jeden drugiego z oczu.

— Jeszcze parę pytań — rzekł Wanacki. — O której przyjechał pan z powrotem po odwiezieniu żony?

— O, trwało to bardzo niedługo! Samochodem jedzie się stąd do Bielin najwyżej dziesięć minut, może nawet mniej. Wróciłem przed ósmą.

— Czy zastał pan jeszcze kogoś po powrocie?

— Nie, nie zauważyłem już nikogo. Nie było również samochodu profesora Malanowskiego. Wszyscy pojechali do domu, nie czekając na nas.

Słońce, które wysunęło się zza bunkra, zaświeciło mu prosto w oczy. Odwrócił mimowolnie głowę w stronę rozlewiska, czego dotychczas skrupulatnie unikał. Tym razem zatrzymał tam wzrok dłużej i spytał:

— Czy już wiadomo, co się stało?

— Ma złamane obie nogi, rozbitą czaszkę i zmiażdżone żebra. Poza tym kilka ran klutych. Już nieżywą ktoś zawiózł do wody.

— O Boże! — wykrztusił Horosz. Znów był błąd jak ściana. — Kto to mógł zrobić? Jakiś zboczeniec? Rabuś?

Wanacki pokręcił głową.

— Pańska żona ma na palcach dwa złote pierścionki i obrączkę, co przemawia przeciwko motywowi rabunkowemu.

— A torebka? — zapytał Horosz. — Justyna miała ze sobą również i torebkę...

W jego głosie znać było pełne niezrozumiałego napięcia oczekiwanie.

— Z pieniędzmi?

— Z pieniędzmi i z dokumentami.

— Torebki na razie nie znaleziono.

Horosz podniósł się z miejsca i nie zatrzymywany przez Wanackiego ruszył w stronę wody. Pochylił się nad ciałem Justyny, przy którym trwał dłuższą chwilę. Potem się wyprostował.

— Trzeba zawiadomić jej rodziców... — rzekł.

Wanacki zawiózł Horosza do Bielin, wysadził go przed domem soltysa. Sam ruszył do willi profesora Malanowskiego.

Mimo zmroku w domu było ciemno. Palila się tylko żarówka nad gankiem. W jej świetle Wanacki ujrzał dziewczynę, siedzącą na ławce w ogrodzie. Była to ta sama ciemnowłosa osóbką, którą poprzednio widział przy grze w kometkę.

Na jego widok poderwała się z ławki i ze zdziwieniem stwierdziła:

— O, to znowu pan? I Bez Artura? Czy Artur zrobił coś złego?

— Jego żona nie żyje — skwitował krótko Wanacki. — Została zamordowana. Przepraszam, z kim mam przyjemność?

— Justyna?! — wykrzyknęła. — Justyna zamordowana?! Kto to zrobił?! — Nagle zrozumiała. — Podejrzewa pan Artura? Ależ to niemożliwe! Artur nigdy w życiu nie byłby zdolny do czegoś takiego! Jest lekarzem i jego celem jest ratowanie ludzkiego życia, a nie zabijanie.

Wanacki obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem. Dlaczego tak się zaperczyła i tak gorąco stawała w obronie Horosza? Czy i ona również, podobnie jak żona Horosza, łatwo ulegała emocjom?

— Czy powiedziałem coś takiego? — odezwał się karcąco. — Zostawiłem pani znajomego w Bielinach. Ma zawiadomić telefonicznie rodziców Justyny o nieszczęściu. Ale, ale, pytałem, kim pani jest...

— Jestem Patrycja, bratanica profesora. — dziewczyna usiadła ciężko na ławce. — Może pan opowiedzieć więcej szczegółów?

— Ciało znaleziono na terenie bunkrów w Brzozowie...

— Akurat tam? Tam byliśmy przed trzema dniami na wycieczce. Czy... — zawahała się — ...czy stało się to właśnie wtedy? Od tego dnia przecież nie widzieliśmy już więcej Justyny. Artur powiedział nam, że wynikała między nim a Justyną jakaś sprzeczka i że Justyna nagle wyjechała. Sam ją podobno odwiózł do przystanku.

— Ale nikt tego nie widział?

— Nie, chyba nikt. Wie pan, bawiliśmy się wówczas w chowanego. To był mój pomysł, przynajmniej. Teraz widzę, że nie najlepszy... — zacisnęła usta. Była naprawdę ładna w tym swoim zmartwieniu. — Stryjek, profesor Malanowski, na pewno opowiedziałby panu o wszystkim dokładnie.

— Może jednak lepiej będzie, jeżeli wysłucham

*

wszystkich po kolei? — zaproponował Wanacki. — Powiedzmy, że zacznę od pani.

Wzruszyła ramionami.

— Jak pan chce. Czy to ma być formalne przesłuchanie?

— Absolutnie nieformalna rozmowa.

— To dobrze — orzekła Patrycja, lecz zaraz zafrasowała się: — Cóż ja właściwie mogę panu powiedzieć? Wiem nie za wiele...

— Niech pani opowie wszystko, co pani wie. Pat namyślała się chwilę.

— Prawdę mówiąc, cała ta wycieczka była dziwna. Zupełnie jak gdyby już wcześniej wisiała nad nią zapowiedź czegoś niedobrego, jakiejś tragedii...

Wieczór był chłodny. Zdziwiająco chłodny po upalnym dniu.

Justyna Horosz wróciła z przejażdżki po jeziorze, na którą zabrał ją po południu profesor Malanowski. Płynęli długo pod słońce, więc twarz jej dosłownie płonęła od świeżej opalenizny, z którą kontrastowały słomiane włosy.

Pat spotkała Justynę w ogrodzie. Minęły się bez słowa, spoglądając na siebie niechętnie. W chwilę później Patrycja usłyszała rozmowę Justyny z Moniką. Justyna pytała Monikę o torebkę, którą zostawiła w hallu: gdzie się zapodziała. Monika pocieszyła ją, że zguba na pewno szybko się znajdzie.

I rzeczywiście. Wchodząc do hallu Pat spostrzegła Justynę z otwartą torebką w ręce. Na widok Pat tamta szybko zasunęła ekler.

— Widzę, że zguba się znalazła — stwierdziła Pat.

Justyna rzuciła jej spojrzenie z ukosa i wyszła, nie nie odpowiadając. Pat zerknęła mimochodem. Wydawało jej się, że Justyna puka do drzwi profesora Malanowskiego.

Trwało to dłuższą chwilę. W tym czasie przyszła do hallu Monika. Pat postanowiła trochę się z nią podroczyć.

— Nie wiesz czasem, gdzie jest Bruno? — zapytała pozornie niewinnym głosem. — Ciocia chciała, żebyśmy wszyscy pomogli jej przygotować kolację. Nie ma go z tobą? — dorzuciła ze zjadliwą troską.

— Przecież widzisz — odparowała krótko Monika.

Na ustach Pat pojawił się dwuznaczny uśmiech.

— Mówiłaś kiedyś, kochanie, że jego miejsce

jest przy tobie. Wybacz, jeżeli przyjąłem to zbyt dosłownie.

Monika aż podskoczyła ze złości.

— Ty... ty... — szukała najodpowiedniejszego słowa. Nie zdążyła go znaleźć, bo właśnie do hallu wszedł profesor Malanowski w towarzystwie Justyny.

— No, no, moje drogie — rzekł strofująco. — Znowu jakieś nieporozumienie między wami? Takie ładne dziewczyny, a takie kłótlive — dodał żartobliwie.

Posłał Monice pocieszające spojrzenie i odwróciwszy się w stronę Justyny, rzekł:

— Zdaje się, że Monika i Pat wciąż nie umieją znaleźć wspólnego języka.

Justyna nie zdobyła się nawet na uśmiech. Profesor przeniósł wzrok na Monikę i powiedział:

— Czy zauważyła pani, pani Justyno, że jesteście z Moniką trochę do siebie podobne? Kiedy tak stoicie obok siebie, widzę to wyraźnie. Podobne figury, prawie identyczne włosy. Ktoś, kto obserwowałby was z tyłu, mógłby się pomylić i wziąć jedną za drugą. Ciekawe, czy i charaktery...

— Kolacja gotowa! — zawołała z kuchni Mira Malanowska i po chwili wniosła na stół pieczone kurczaki. Butelki z białym winem już stały, a nastrój, początkowo nijaki, ożywił się w miarę ubywania trunku. Malanowski, Mira i Horosz pili wprawdzie niewiele, ale reszta nie żałowała sobie.

Pat flirtowała demonstracyjnie z Horoszem, zerkając od czasu do czasu, czy Bruno to widzi. Zauważyła jednak i wrogi wzrok Justyny, która milczała ponuro. Malanowski, chcąc ją ożywić, pochylał się w jej stronę i zaczął opowiadać o ciekawych i zabawnych przypadkach ze swej praktyki. Justyna była podniecona, jej oczy błyszczały nienaturalnie. W pewnym momencie przerwała opowiadanie profesora i w dość obcesowy sposób powiedziała:

— Czasami odnoszę wrażenie, że wy, lekarze, zbyt prosto ujmujecie problemy życia i śmierci. Człowiek zaś interesuje was wyłącznie jako przypadek medyczny. W to, co ten człowiek myśli, co czuje, już nie wnikacie.

Malanowski zaoponował, ale Justyna podniosła rękę.

— Proszę nie zaprzeczać. Wiem, że musi pan tak mówić, ponieważ inaczej nie wypada. Ale czy tak jest naprawdę? Wątpię. Dam przykład. Przywożę panu do szpitala kogoś, kto połknął za dużo środków nasennych. Jako lekarz będzie pan oczywiście robił wszystko, żeby pacjenta odrato-

wać. Ale czy docieka pan przyczyn, dla których ten człowiek nie chce żyć?

— A wie pani, że tak. Zresztą w moim przekonaniu samobójstwo, o ile nie jest wywołane nieuleczalną chorobą, jest przede wszystkim wynikiem... — szukał przez chwilę odpowiedniego określenia — ...swojego rodzaju nieprzystosowania. Niemożności stawienia czoła własnym problemom.

— Jeżeli jest to więc tylko kwestia czyjejs osobistej decyzji i własnej, powiedzmy w cudzysłowie, winy, dlaczego zawsze szuka się jakiegoś winnego?

— Profesor podniósł brwi.

— Ależ, o ile wiem, nasze prawo karze za tak zwaną namowę albo za udzielenie pomocy w popełnieniu samobójstwa. Myślę jednak, że są to niezmiernie rzadkie przypadki.

Justyna wychyliła do dna swój kieliszek i nałała sobie następny.

— Pozostaje jednak jeszcze kwestia odpowiedzialności moralnej.

— Oczywiście — zgodził się profesor. — Ale wydaje mi się że tu akurat sprawy rozgrywają się na innej płaszczyźnie. Co znów nie znaczy, że oceny będą zgodne lub jednoznaczne. To bardzo trudne kwestie, proszę mi wierzyć. Raczej do rozstrzygnięcia w kategoriach moralno-filozoficznych niż prawnych czy medycznych.

Spostrzegł, że rozmowy przy stole nagle ucichły.

— Więc jak pani uważa? — zagadnął Bruno. — Czy jeśli uczeń popełni samobójstwo z powodu kłopotów w nauce, to trzeba obarczać winą nauczycieli? W liceum, do którego kiedyś chodziłem, chłopak, zresztą mój kolega, wyskoczył z dziesiątego piętra, ponieważ nauczycielka fizyki i matematyki nie dopuściła go do matury. Kiedy doszło do tragedii, musiała odejść ze szkoły, tak silna była presja otoczenia.

— Uważam, że nie mogła tam zostać — stwierdziła Monika. — W końcu była przecież w jakimś sensie odpowiedzialna za śmierć tego chłopaka.

Justyna, która poprzednio rozpełtała całą dyskusję, obecnie nie zabierała w niej głosu. Natomiast Patrycja odczuwała się zapalczywie:

— Chłopak był sam sobie winien! No i może jeszcze dom. Dlaczego nikt z rodziny nie zauważył, co się z nim dzieje? A ty, co o tym sądzisz, Arturze? — zwróciła się niespodziewanie do Horosza.

Ten zawahał się.

— No! — nalegała Patrycja. — Czy nauczycielka była winna, czy też nie?

— Sądzę, że w takim samym stopniu, w jakim byłby winien na przykład mąż, gdyby jego żona popełniła samobójstwo na wiadomość, że się chce rozwieść, ponieważ znalazł sobie inną. Albo dziewczyna, która zdradziła zakochanego w niej chłopaka. Zaręczam zresztą, że to daleko częstsze powody samobójstwa niż uczniowskie niepowodzenia.

— Przestańcie! — krzyknęła nagle Malanowska. — Czy naprawdę nie macie już innego tematu? O życiu mówcie, o życiu, słyszycie? A nie o śmierci i o tragediach, o których nie macie pojęcia i nigdy ich nie zrozumiecie.

Malanowski zmieszał się.

— Przepraszam cię, kochanie. To moja wina. Rozmawiałem tylko z panią Justyną i ani przez chwilę nie przypuszczałem, że dyskusja przyjmie taki obrót — pogładził pieszczotliwie rękę żony. — A może ty opowiesz nam coś ciekawego? Naturalnie nie ze szpitala. Umówmy się, że od tej chwili temat szpitala, chorób i tak dalej będzie absolutnie zakazany. Zgoda?

Malanowska skinęła przytakująco.

— A może byśmy, zamiast dyskutować, zastanowili się wspólnie, co robić jutro? Przyznam się, że plaża mi się już trochę znudziła. Może wybrali byśmy się na jakąś wycieczkę?

— O tak, tak! — podchwyciła Pat. — Chodźmy gdzieś jutro na wycieczkę! Na pewno jest tu w okolicy coś ciekawego! Powiedz, stryжку, są tu może jakieś stare zamki, zrujnowane pałace, nieczynne wiatraki?

Malanowski podrapał się z zakłopotaniem w głowę.

— Są tylko zrujnowane poniemieckie bunkry w pobliżu Brzozowa. Dokładniej mówiąc, w lasach między Brzozowem a Bielinami.

— Wspaniale! — zawołała Pat. — Więc chodźmy tam jutro! Chodźmy koniecznie!

W tym miejscu Pat przerwała swoją relację. Poderwała się z ławki, podbiegła do furtki i zaczęła nasłuchiwać głosów, które niosły się z lasu. Z ciemności wyłonił się po chwili masywny mężczyzna około sześćdziesiątki, idący w towarzystwie chorobliwie chudej kobiety w średnim wieku. Na widok obcego nastroszył się, lecz zanim zdążył się odezwać, uczyniła to Pat.

— Pan jest z milicji — uprzedziła. — Mówi, że zamordowano Justynę Horosz i przyjechał

tutaj, żeby nas wszystkich w związku z tym przesłuchać.

Towarzyszająca mężczyźnie kobieta stanęła jak wryta.

— A skąd wiadomo, że z milicji? — spytała ostro.

Wanacki wyjął legitymację. Mężczyzna pchnął furtkę, wszedł do ogrodu, obejrzał legitymację pod światłem, padającym z lampy nad gankiem.

— Jestem Malanowski. Proszę do mnie — rzekł. Mówił drewnianym, bezosobowym głosem. — Mirko — zwrócił się do kobiety — zostaw nas teraz na jakiś czas samych. Zrób nam tylko po szklance herbaty.

Chuda kobieta zniknęła w głębi domu. Malanowski otworzył drzwi do pokoju, umeblowanego w stylu cepeliowskim. Tutaj bez słowa wyjął z kieszeni kółko z kilkoma kluczami. Chwilę szukał, aż znalazł odpowiedni.

— Więc mówi pan, że Justyna Horosz została zamordowana?

— Tak — potwierdził Wanacki. — Jej zwłoki znaleziono na terenie poniemieckich bunkrów. Spadła na ziemię z wysokości, a sprawca zadał jej kilka ciosów ostrym narzędziem.

— I przypuszcza pan, że ktoś z nas może mieć coś z tym wspólnego?

— Na razie jedynie się rozglądam. Czy widziałby pan tu kogoś, komu mogłoby zależeć na jej śmierci?

— Pan wybaczy — rzekł godnie Malanowski — ale chodzi o moją rodzinę oraz o moich gości. Jeżeli w ogóle można by mówić o kimś podejrzanym, w grę mógłby wchodzić jedynie mąż Justyny, doktor Artur Horosz.

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Z kilku powodów. Po pierwsze istniały nieporozumienia i konflikty pomiędzy doktorem Horoszem a jego żoną, które w pewnym momencie mogły przybrać charakter ostry, gwałtowny. Po drugie doktor Horosz oznajmił nam, że jego żona niespodziewanie wyjechała i że sam ją odwiózł na przystanek autobusu PKS. Nie mamy oczywiście powodów mu nie wierzyć, ale skąd wiadomo, że mówił prawdę? Teraz to wszystko jawi się w nowych okolicznościach. A jeśli nawet przyjmiemy takie założenie, to i tak był ostatnim człowiekiem, który widział Justynę żywą...

Podszedł do niewielkiego jasnego biurka, które stało pod oknem. Leżały na nim jakieś książki, papiery, stała też fotografia w ramce. Kolysząc machinalnie kluczami, powiedział z pozoru nie na temat:

— Widzi pan, nie jestem już człowiekiem najmłodszym, a u chirurga wiek odgrywa rolę większą niż w innych dziedzinach sztuki lekarskiej. Nieublaganie przybliży się czas, w którym będę musiał opuścić klinikę. Powinieniem jednak pozostawić następcę, który by kontynuował i rozwijał moją pracę... — urwał, po czym z melancholijną rezygnacją w oczach dodał: — Typowałem na to miejsce doktora Horosza, jednego z moich bliskich współpracowników. Wydawało mi się, że to człowiek zdolny i ma przed sobą dużą przyszłość. Być może nie pomyliłem się patrząc od strony zawodowej. Jestem jednak człowiekiem starszy daty. Wychodzę z założenia, że dobry lekarz musi posiadać nie tylko wysokie kwalifikacje fachowe, ale i mocny kręgosłup moralny — chociażby po to, żeby nie ulec różnym pokusom i trudnościom, jakie nieraz będzie napotykać na swojej drodze. W klinice, przy zaabsorbowaniu codzienną pracą, nie ma czasu na takie obserwacje. Zaprosiłem wobec tego doktora Horosza tutaj, zamierzając mu się bliżej przyjrzeć.

— Jak wypadł egzamin? — zapytał Wanacki.

— Niestety, rozczarowałem się. Mówiąc wprost, doktor Horosz zawiódł pokładane w nim nadzieje i raczej trudno się spodziewać, bym kiedykolwiek optował za nim jako za swoim następcą. Raczej odwrotnie — myślę, że byłoby to wręcz niewskazane.

— Z jakich względów?

— Okazał się człowiekiem słabym charakterologicznie, nadmiernie podatnym na wdzięki młodych dziewcząt, a przy tym uwikłanym w swoje małżeńskie nieporozumienia. To niestety nie pomaga, a raczej przeszkadza w należyтым pełnieniu funkcji kierownika kliniki, w której przecież realizuje się również zadania dydaktyczne i szkoleni przyszłych lekarzy.

Mówił tak, jak gdyby wygłaszał okolicznościowy referat. Wanackiego jednak bardziej od dydaktycznych zadań kliniki interesowały małżeńskie konflikty Horosza. O nie więc zagadnął.

— Nie chciałbym wchodzić w szczegóły — odparł Malanowski — zwłaszcza teraz, kiedy pani Justyna nie żyje. Muszę jednak powiedzieć, że nawet mnie nie zdziwił jej nagły wyjazd, o którym dowiedziałem się od doktora Horosza. Więcej: byłem przekonany, że postąpiła właściwie. W końcu istnieje przecież coś takiego, jak ambicja. Są granice tolerancji. Jeżeli na oczach wszystkich doktor Horosz romansuje z Pat, moją bratanicą, to...

Wyraz potępienia w jego oczach był chyba

szczery. Spojrzał na pęk kluczy, trzymany nadal w dłoni i naraz urwał, jakby przypomniał sobie o czymś ważnym. Otworzył jedną z szuflad biurka i wyjął stamtąd czarną płaską walizeczkę oraz drewnianą kasetkę, która leżała najwidoczniej pod spodem. Położył obie te rzeczy na blacie i zajrzał do kasetki. W papierach, jakie wypełniały jej wnętrze, wyszukał białą, nie zaadresowaną kopertę.

— Nie wiem wprawdzie, co zawiera ten list — rzekł — ale może coś ważnego. Pani Justyna Horosz zwróciła się do mnie, abym przechował go przez jakiś czas. Z nie znanych mi powodów nie chciała go nosić przy sobie. Przypominam sobie, że wręczyła mi tę kopertę w przeddzień wycieczki do bunkrów, wieczorem. Zauważyłem wówczas, że jest w złym stanie psychicznym, w nastroju przygnębienia. Wróciliśmy z krótkiego rejsu żaglówką po Bejsunach. Wkrótce zapukała do mojego pokoju. Wyjęła z torebki zaklejoną, nie zaadresowaną kopertę i zapytała, czy nie mógłbym przechować tego przez jakiś czas. Oczywiście zgodziłem się.

— Więc pan nie zna treści listu?

— Szanuję tajemnicę korespondencji — odparł. — Jest jeszcze u nas coś takiego. — Siwe kosmyki włosów rozsypały się, opadając na krzaczaste brwi. Wyglądał przez moment nieporządnie, lecz szybko odgarnął je ręką. W chwili później podał Wanackiemu list.

Oficer rozerwał ostrożnie kopertę, z której wyjął kilka złożonych arkusików papieru listowego. Były zapisane drobnym, starannym pismem pilnej uczennicy.

Małanowski zajrzał mu przez ramię i przeczytał: *Ja, niżej podpisana Justyna Horosz, oświadczam, że mój mąż, Artur Horosz, któremu nie chcę dać rozwodu, zamierza się mnie pozbyć i gotów jest w tym celu posunąć się nawet do zabicia mnie...*

W tym momencie przed dom zajechał samochód. Wanacki wyrzwał przez okno i w świetle lampy nad gankiem zobaczył Artura Horosza, idącego przez ogród w stronę domu.

VI

List aż do końca utrzymany był w owym łąkowo-melodramatycznym stylu, w jakim zwykły się wyrażać o swych partnerach kobiety przez

nich nie rozumiane, nie doceniane i lekceważone albo zranione w swoich uczuciach. I gdyby nie dramatyzm sytuacji, może i mogłoby to nawet wzbudzić cień melancholijnego uśmiechu.

Obecnie jednak nie bawiło to nikogo, a najmniej Artura Horosza, któremu Wanacki odczytał głośno list od początku do końca.

— Ależ to kompletna bzdura! — wykrzyknął Horosz. — Same kłamstwa! Czy naprawdę ktoś serio może myśleć, że chciałem zabić Justynę?!

Nerwowym krokiem zaczął przemierzać tam i z powrotem pokój, wreszcie stanął przy oknie, za którym polyskiwała w świetle księżycy czarna tafla Bejsun.

Byli w pokoju na mansardzie, do którego Mira Małanowska wprowadziła Horoszków zaraz po ich przyjeździe. W umeblowaniu nic się nie zmieniło, pozostał nawet zapach jabłek.

— Istnieją jednak poszlaki — zauważył Wanacki. — Na przykład konflikt pomiędzy panem a pana żoną...

— One zdarzają się w tysiącach małżeństw...

— Różnica polega na tym, że pana żona została zamordowana. Zreasumujmy to, co dotąd wiemy: pańska żona zostawia u profesora Małanowskiego list, w którym pisze, że zamierza ją pan zabić, ponieważ odmawia panu zgody na rozwód. Zgodzi się pan chyba, że jest to dosyć jednoznaczne oskarżenie? Dalej: wybieracie się do bunkrów; pan jest ostatnim człowiekiem, który widzi ją żywą. Opowiada pan wszystkim, że żona wyjechała i że sam pan ją odwiózł do autobusu. Tymczasem, jak się okazuje, nie wie pan nawet, że po południu pekaesy z Bielip już nie kursują. Nikt także nie widział we wsi ani pana, ani żony. A miejsce, gdzie usytuowano przystanek, jest dość ruchliwe i uczęszczane, sprawdziłem. Znajduje się w samym centrum wsi. Obok jest sklep, niedaleko camping...

— Może Justyna w ogóle tam nie czekała, tylko od razu ruszyła z powrotem do bunkrów? — podsunął Horosz. — Prawdopodobnie zanim doszła, zrobiło się ciemno i nie zastała już nikogo. Może nas szukała i wtedy została napadnięta i zamordowana?

— Wykluczyć tego oczywiście nie sposób. Tylko że aby dojść do drogi, prowadzącej przez las do bunkrów, żona pańska musiałaby najpierw przejść przez całą wieś, przez sam środek Bielip. Znow wracamy do pytania: dlaczego nikt jej nie widział? I jeszcze jedno. Czy przypomina pan sobie, kiedy zainteresował się pan, jak zginęła pańska żona? Co stało się przyczyną jej śmierci? Weale nie od razu,

jak można by się tego spodziewać, zwłaszcza po lekarzu, lecz znacznie później — dopiero w trakcie rozmowy. Czyżby dlatego, że przyczynę śmierci znał pan już wcześniej?

— Jak mam to rozumieć? — zapytał sztywno Horosz. Był mocno zdenerwowany, na jego policzki wystąpiły czerwone plamy.

— Że żona w ogóle nie opuszczała terenu bunkrów. Nigdzie jej pan nie odwoził, a całą tę historię z rzekomym wyjazdem wymyślił pan po prostu na użytek otoczenia.

— Pan mnie oskarża? Jakim prawem?

— Spokojnie, spokojnie, oskarżać może pana jedynie prokurator. Ja tylko prowadzę wstępne przesłuchania i stawiam hipotezy. A jedna z nich brzmi, że to właśnie pan zabił żonę podczas wycieczki do bunkrów i ukrył zwłoki w wodzie, obciążając je następnie kawałkami betonu, aby nie wypłynęły. Potem spreparował pan bajeczkę o wyjeździe żony...

— No, nie! — uniósł się Horosz. — Tego już za wiele. A niby co miałyby się dziać dalej? Tu też przyszykował pan jakąś hipotezę? Przecież w końcu zorientowano by się, że Justyna zaginęła i rozpoczęto by poszukiwania.

— Zawsze mógł pan powiedzieć, że odwiózł pan żonę do autobusu i nie wie, co się z nią później stało. Mało to zdarza się w Polsce nie wyjaśnionych zaginięć? Istnieje nawet specjalny rejestr takich osób, które „wyszły i nie powróciły”.

— Nie zabiłem Justyny — powiedział z nacięciem Horosz. — Poszlaki to jeszcze nie dowody.

— Oczywiście, że nie — zgodził się Wanacki. — Ale wystarczy do zatrzymania, chociażby na razie na czterdzieści osiem godzin. Zostanie pan oficjalnie przesłuchany, zaprotokołuje się pańskie zeznania, a prokurator zdecyduje, czy przedłużyć sankcję. Mam podstawy sądzić, że właśnie tak postąpi.

— Zamierza mnie pan aresztować? To niemożliwe! — wybuchnął Horosz. — Jak mógłbym się potem pokazać w klinice? Byłbym całkowicie skończony! Czy zdaje pan sobie sprawę, w jakiej to by mnie postawiło sytuacji? Profesor Malanowski chce się mnie od pewnego czasu pozbyć z kliniki, widząc we mnie swojego potencjalnego konkurenta. Czeka jedynie na pretekst, więc z całą pewnością nie omieszką skorzystać z okazji. Wystarczy nawet zatrzymanie na czterdzieści osiem godzin, aby wytoczył przeciwko mnie najcięższą artylerię. Już go widzę, jak mówi tym swoim patetycznym, namaszczoneym głosem:

„Nie, koledzy, w żadnym wypadku nie mogę się zgodzić, aby pracował u nas lekarz, podejrzewany o zabójstwo własnej żony. Lekarz to człowiek, którego morale musi być nieposzlakowane...” I tak dalej, w tym samym stylu...

Jego zdenerwowanie rosło i nawet zamierzona ironia wypadła błodo.

„Profesor miał rację — pomyślał Wanacki. — Rzeczywiście brakuje mu siły charakteru. Do tego prawdopodobnie jest tchórzem i boi się, z trudem to jedynie maskuje. Widać to już było podczas pierwszej rozmowy. Ale czy obawia się tylko o swoją karierę zawodową, czy też nie wytrzymuje psychicznego obciążenia? Czy rzeczywiście zabił żonę, jak to sugerują poszlaki, czy po prostu ukrywa coś, co — jego zdaniem — mogłoby go obciążyć? Może teraz dojdzie do wniosku, że jednak posuwa się za daleko i że nie warto dłużej ryzykować?”

Postanowił przyspieszyć ów moment.

— Niestety — rozłożył ręce — nie na to nie poradzę. Chyba że...

Horosz spojrzał mu prosto w twarz. Oczy błyszczały mu nienaturalnym podnieceniem, rude włosy lśniły w świetle lampy jak miedź.

— ... że zdecyduje się pan wreszcie i powie, co się naprawdę wydarzyło.

Artur Horosz przesunął językiem po wargach. Oczy wyrażały teraz niezdecydowanie.

— Wszystko już powiedziałem — oznajmił z tym samym niezdecydowaniem w głosie.

— Skoro tak, to rzeczywiście pozostaje nam już tylko oficjalne przesłuchanie... Proszę zabrać najpotrzebniejsze rzeczy. Pojedziemy do Suwałk. — Wanacki ponaglił Horosza gestem ręki. — No, szybciej!

— Nie! — odezwał się naraz Horosz. — Pan ma rzeczywiście rację. Powiniennem to zrobić znacznie wcześniej, ale bałem się, że jeśli powiem prawdę, nikt mi nie uwierzy.

— Jak więc wygląda ta prawda tym razem? — zapytał Wanacki.

I Horosz zaczął mówić...

Cała grupa, składająca się z profesora Malanowskiego i jego żony, Horoszków, Bruna, Moniki i Pat, dotarła do bunkrów późnym popołudniem. Na niebie gęstniała mgielka chmur, zapowiadając zmianę pogody. Ściany bunkrów były nagrzane przez słońce. Jedynie z nie zasypanych wejść dobywał się chłód.

Ciemne, wilgotne korytarze we wnętrzu bunkrów

szybko ich znuziły. Wyszli więc na dwór, lecz — jak się okazało — nie na długo. Pat wpadła na pomysł, ażeby zorganizować zabawę w chowanego. Początkowo przyjęto to z pobłażliwym uśmiechem. Pat jednak nie zrezygnowała. Niespodziewanie poderwała się z miejsca, pociągając za sobą Bruna.

— Chodź, Bruno! — zawołała. — Tak się schowamy, że nawet Monika nas nie znajdzie!

Trzymając Bruna za rękę pobiegła naprzód i po chwili zniknęła między rumowiskami. Z daleka doszło tylko jej wołanie:

— Już! Szukajcie!

Pierwsza zareagowała Monika. Podskoczyła jak spięta ostrogą, ruszając śladem Patrycji i Bruna. Horosz również wstał. Przeżywał swoiste rozdwojenie jaźni. Z jednej strony denerwowało go zachowanie Patrycji, z drugiej — dałby wiele, by znaleźć się z nią teraz sam na sam.

Wszystko potoczyło się jednak inaczej. Skoro tylko zanurzył się w głąb jednego z bunkrów, usłyszał za sobą czyjeś kroki. Obejrzał się i oświetlił korytarz latarką. Zobaczył Justynę.

— O co ci znowu chodzi? — zapytał niechętnie. — Czy nigdy już nie zostawisz mnie w spokoju?

— Jak to? — zdziwiła się, pozornie zaskoczona. — Czyż nie postawiłam sprawy jasno? Dostałeś też sporo czasu do namysłu. Ta dziewczyna, myślę rzecz jasna o Pat, jest zupełnie niezła. Zdaje się, że spędzałeś z nią chwilę dość przyjemnie... — zazdrość i urażona ambicją pozbawiły ją nagle oddechu. — Chyba jednak zgodzisz się — powiedziała po chwili — że powinien to być tylko epizod w twoim życiu. Bo gdyby tak o wszystkim dowiedział się twój profesor, czuły wszak, jak wiesz, na morale lekarzy? Zabawne, co? Żonaty lekarz i jego bratanica, a wszystko na oczach szanownej małżonki oraz równie szanownego stryja. Biedny, mały Arturek — zakpiła.

Odepchnął jej rękę.

— Nie dam się sprowokować — oświadczył stanowczo. — Żebyś wygadywała nie wiem co, nie zmienię decyzji. Nie pozwolę się szantażować; ani w ten, ani w żaden inny sposób. Czas, żebyś to sobie wreszcie zapamiętała!

— Ciekawa jestem, jak to zrobisz? — zainteresowała się Justyna — Wymyślisz już coś?

Zaświecił jej umyślnie latarką prosto w oczy, ale nie uchyliła się.

— I owszem... Nie wierzysz?

— Ależ skądże! Jeszcze jak! I dlatego właśnie sporządziłam wczoraj rano pewien dokument. A wieczorem... wieczorem umieściłam go w pew-

nym, absolutnie bezpiecznym miejscu. Chcesz wiedzieć, co zawiera? Nie robię z tego żadnej tajemnicy. Ot, takie różne osobiste wynurzenia, spisane na wypadek, gdyby mi się przytrafiło coś niespodziewanego... Rozumiesz?

Trudno było nie rozumieć. Artur z przerażającą jasnością zdał sobie naraz sprawę z tego, że Justyna ma go w ręku. Ogarnęło go poczucie beznadziejności własnej sytuacji.

— Jeszcze raz proponuję ci — zaczął zrezygnowanym głosem — załatwienie całej sprawy ugodowo. Jeżeli chcesz pieniędzy — dostaniesz je. Nawet, jeżeli będę musiał spłacać cię przez całe życie.

— O, nie! — odparła Justyna. — Nie zależy mi na pieniądzach, tylko na tobie.

Teraz ona z kolei wycelowała latarkę w twarz Artura i — niespodziewanie — zawróciła. Idąc śmiała się sama do siebie, a śmiech ten jeszcze długo brzmiał w korytarzach bunkrów.

Horosz pobiegł początkowo za nią. Jednakże wkrótce się rozmyślił.

„Po co mi to? — pomyślał. — I tak nic nie wskóram. Może z biegiem czasu Justyna zrozumie, że to bezsens tak się upierać?”

Zawrócił w odnogę korytarza, który jednak — zamiast z powrotem na dwór — zawiódł go gdzieś w głąb bunkra. Widać jedne budynki łączyły się z następnymi poprzez podziemne przejścia, skoro Artur przez dwie godziny błądził po lochach.

„Zabawa w chowanego — myślał. — Ciekawe, czy ktoś wpadłby na pomysł, ażeby mnie tu poszukać?”

Nagle w jednolitej dotąd czerni korytarzy pojawił się jakiś jaśniejszy przeblysk. Horosz dotarł do na wpół zasypanego bocznego wejścia.

Otwór był jednak zbyt wąski, ażeby mógł się tędy prześlizgnąć dorosły mężczyzna. Ściany bunkra wisiały niebezpiecznie nisko, pełne obrywów betonu naszpikowanych żelaznymi prętami.

Usuwanie gruz, Artur starał sobie wprawdzie palce do krwi, ale udało mu się poszerzyć przejście. Po dalszych trzydziestu minutach droga stanęła wreszcie otworem.

Wypelź na powietrze i zdumiał się. Wszedł tu, kiedy na dworze było jeszcze widno. Teraz panował zmierzch. Niebo było całkowicie zachmurzone, zaczął siąpić deszcz. Gdzieś, na razie jeszcze daleko, zagrzmiąło.

„Będzie burza — pomyślał. — Czy reszta towarzystwa już wróciła, czy też czekają na mnie? A może jeszcze szukają Pat, albo tym razem schował się ktoś inny?”

Staął, nasłuchując chwilę. Wokół panowała jednak prawie zupełna cisza. Nie słyszał żadnych głosów. Więc może rzeczywiście wszyscy już poszli?

Przedzierając się przez kłujące jeżyny ruszył naprzód, równoległe do czerniejącej nad nim, wysokiej ściany jednego z bunkrów.

Raz jeszcze zapalił latarkę. Z mroku wyloniły się długie, splecione cienie krzaków. Po pewnym czasie zarośla zrzędy. I wtedy...

Wtedy właśnie dostrzegł na ziemi nieruchomy, podłużny kształt.

Kiedy pochylił się, zobaczył, że ma przed sobą Justynę.

Zrobiło mu się gorąco.

„A więc tak się zemściła — pomyślał. — Na tym właśnie polegał jej plan”.

Nie wątpił, że Justyna nie żyje. Wziął ją za rękę — nie wyczuł pulsu.

Spojrzał w górę. Justyna leżała dokładnie pod wysoką, ponurą ścianą bunkra, jak po upadku z jej szczytu. Twarz miała zakrwawioną, a i wszędzie wokół było mnóstwo krwi.

— Więc się zabiła — powiedział z rozpaczą sam do siebie.

Teraz już nie było dla niego wyjścia. Prawdopodobnie obmyśliła wszystko wcześniej i tylko czekała na odpowiednią okazję. Wczoraj zaplanowano wycieczkę do bunkrów — i wczoraj wieczorem także Justyna pozostawiła jakiś oskarżycielski list. Artur raczej nie żywił wątpliwości, co w nim napisała... A dzisiaj... Gdy nikt jej nie widział, wdrapała się na górę — i skoczyła w przepaść.

Gorączkowo myślał, co dalej. Co właściwie powinien teraz uczynić. Najprostsze byłoby oczywiście zawiadomienie milicji. Wtedy jednak niechybnie wszystkie podejrzenia padną na niego. Odkryty zostanie oskarżycielski list Justyny, a on sam będzie posądzony o zepchnięcie żony w przepaść. Nie — musi się znaleźć jakieś inne, bezpieczniejsze wyjście. Musi wymyślić co innego.

„A gdyby tak — przyszło mu do głowy — powiedzieć, że Justyna niespodziewanie wyjechała? Przyznać się nawet bez żenady do jakiejś małżeńskiej sprzeczki, do impulsywnego charakteru Justyny, powiedzieć, że samemu się ją odwiozło do autobusu PKS? Może to właśnie było to najwłaściwsze rozwiązanie wszystkich dylematów? Zostanie wtedy czas na znalezienie listu Justyny...”

Ale co z ciałem? Ciało musi zniknąć. — i to zniknąć bez śladu, by nikt go nigdy nie odnalazł.

Horosz rozejrział się. Początkowo pomyślał o wywiezieniu stąd zwłok Justyny samochodem, który zaparkował nie opodal. Jak je tam jednak donieść? W każdej chwili mógł przecież spotkać kogoś po drodze! Wówczas byłby rzeczywiście całkowicie załatwiony! Schować gdzieś pod gruzami? Też nie — szybko by je tam znalazł. Podobnie w bunkrach — w razie jakichkolwiek podejrzeń one właśnie staną się w pierwszym rzędzie terenem poszukiwań. Więc?... Musiało to być coś bliskiego i pewnego.

Nagle znalazł! W rumowisko bunkrów zagłębiał się w pobliżu podłużny język wypełnionej wodą rozpadliny, łączącej się z niedalekim bagnem. Oto najodpowiedniejsze miejsce!

Ująwszy Justynę za ramiona, powłókł zwłoki w kierunku wody. Zsunęły się i zapadły w głąb nadspodziewanie cicho i szybko, pozostawiając po sobie jedynie lekki plusk. Artur przydzwigał jeszcze kilka kawałków betonu i wrzucił je w ślad za ciałem. Przekonany był, że bagnista rozpadlina pochłonie Justynę na zawsze. Teraz pozostawało jeszcze rozegrać resztę planu.

Biegami puścił się z powrotem. Sam nie wiedział, kiedy i jak dotarł do samochodu. Zapuścił silnik. Droga powrotna nad Bejsuny dłużyla mu się niemilosernie. Dotarł tam dopiero około dziesiątej wieczór — wyczerpany i zablozony. Na koszuli zauważył plamy krwi. Pozostawił samochód na drodze dość daleko od domu, aby go nikt nie spostrzegł, i poszedł się umyć w jeziorze.

Gdy wrócił i usiadł ponownie za kierownicą, ogarnęło go niemile wrażenie, że o czymś zapomniał. Obejrzał się raz i drugi za siebie, nawet zapalił światło wewnętrzne.

I wtedy nagle zorientował się, czego brakuje...

Tak, z całą pewnością się nie mylił. Był gotów przysiąc, że w trakcie wycieczki Justyna miała ze sobą torebkę. Kiedy zaś odkrył jej ciało, torebki przy nim nie było.

A jeśli została gdzieś na terenie bunkrów? Jeśli ją przeoczył, a ktoś ją z łatwością odnajdzie, niwecząc cały plan?

Musiał zatem wrócić. Musiał.

Zawrócił i pojechał leśną drogą, skąpaną w strugach deszczu. Raz po raz grzmiało i drzewa jaśniały w świetle błyskawic.

„Co za upiorna sceneria” — pomyślał. Koła samochodu zabuksowały w wilgotnym piachu. Horosz stracił panowanie nad kierownicą. Nacisnął pedał gazu, usiłując wydostać się z grząskiej pułapki. Daremnie. Wóz obrócił się, a koła zaryły się jeszcze głębiej. Stał teraz tyłem do bunkrów,

w kierunku dokładnie przeciwnym do tego, skąd przyjechał.

Nie było rady. Musiał wysiąść. Na szczęście miał już blisko.

Sięgnął po latarkę, którą rzucił obok siebie, na przednie siedzenie — i zaklął, latarka ledwo się żarzyła.

— Co za idiota ze mnie — mruknął, przypominając sobie, że przecież wylądował baterie już w trakcie błędzenia w korytarzach bunkra. W rezultacie oglądał ciało Justyny prawie po ciemku, i niósł je później niemal po omacku.

Na szczęście miał zapasowe baterie w skrytce. Nim je wymienił, burza minęła, pozostawiając po sobie wielkie kałuże, odświeżone powietrze i szelest kropel spadających z drzew. Na niebie ukazał się księżyc, który wydobyl z mroku kontury fortyfikacji.

Horosz przebiegł przez wzgórze i przez zniszczony most. Wyrosła przed nim pierwsza czarna ściana. Zapalił latarkę i — rozglądając się ostrożnie — zaczął posuwać się naprzód.

Po pewnym czasie dotarł do miejsca, które wydało mu się na pierwszy rzut oka znajome. Ta sama, co poprzednio, kępa klujących krzaków. Te same pogruchothane płyty, porośnięte mchem i trawą... Skierował światło latarki na ziemię i zaczął szukać.

Ale torebki nie było.

Niespodziewanie usłyszał z daleka szum silnika. Droga nadjeżdżał jakiś samochód. Naraz silnik umilkł. Nastąpiła cisza.

Horosz zaczął się wycofywać ścieżką prowadzącą w górę. Ze szczytu dostrzegł ciemny kształt auta. Kiedy się zbliżył, poznał wóz profesora Malanowskiego. Usłyszał jakiś szelest.

— Kto tam? — zapytał i skierował latarkę w tamtym kierunku.

— Ależ mnie pan oślepił — powiedział z wyrzutem czyjś głos. Zza drzew wyłonił się Bruno Jankowski.

— Co pan tu robi? — zapytał Horosz.

Bruno zszedł z leśnej skarpy.

— Czekam. Zakopał się pan, co?

— Właśnie. A kiedy nie pomogły gałęzie, pomyślałem, że dobrze byłoby przydzwigać trochę kamieni i gruzu z terenu bunkrów. Jeśli podłożę to pod koła, jakoś ruszę.

— Aha — mruknął Bruno. — Ale, jak widzę, wrócił pan z niczym.

— Przeliczyłem się z siłami — wyjaśnił Horosz. — Wszystko było diabelnie ciężkie.

— Czemu nie poszedł pan po pomoc? Jeszcze

i ja, i profesor Malanowski mamy chyba dość siły, żeby pana wyciągnąć.

— Głupio jakoś. Poza tym burza, padało, nie chciałem nikogo fatygować w taką pogodę. Myślałem, że jednak jakoś sobie sam w końcu poradzę.

— No, a my nie mogliśmy się was doczekać. Myśleliśmy, że przyjdziecie zaraz po nas, a tu nie ma was i nie ma. W końcu profesor wysłał mnie na zwiady.

— Dał panu samochód? — zdziwił się Horosz.

— Ech, co to, to nie — wyjaśnił Bruno. — Przyjechaliśmy wszyscy razem. Najpierw chciał jechać tylko profesor z żoną. Potem jednak Pat oświadczyła, że też się z nimi zabierze, ponieważ to właśnie ona była inicjatorką zabawy w chowanego i nie darowałaby sobie, gdyby któremuś z jej uczestników stało się coś złego. W końcu doszła jeszcze Monika, no i oczywiście ja sam... Po drodze natrafiliśmy na pański wóz, zakopany w piachu. Dalej więc już nie można było przejechać — zagradzał pan drogę dokumentnie. Malanowski postanowił, że zostawi samochód i mnie wyśle jako przednią szpicę. Sami poszli szukać was w bunkrach. Zaczęliśmy się obawiać, czy coś się nie stało...

„Dlaczego ich nie spotkałem po drodze? — pomyślał Horosz. — Dlaczego nie słyszałem ich głosów, kroków?” Jedynym wytłumaczeniem, jakie znalazł, była okoliczność, że szedł górą, ścieżką, wiodącą po szczytach bunkrów. Była jednak jeszcze i druga ścieżka, która dochodziła na ten teren dołem, przez las. W ten sposób widocznie się rozminęli.

Roześmiał się, choć przyszło mu to z wysiłkiem.

— Nie, ależ skądże! Posprzeczaliśmy się trochę z moją małżonką. Ta się tak bardzo rozgniewała, że zażądała, abym ją na gwałt odstawił na przystanek pekaesu do Bielin, ponieważ natychmiast wyjeżdża. Próbowałem ją przebłagać — nic z tego nie wyszło. Cóż miałem robić? Pan tego jeszcze nie wie, młody człowieku, ale kobietom w takiej sytuacji najlepiej ustąpić. Same się za jakiś czas zreflektują i zatęsknią. Więc spełniłem jej życzenie... Potrwało to oczywiście jakiś czas i zanim wróciłem, zrobiło się ciemno. Nikogo już nie było. Postanowiłem pojechać do domu. Wtedy się zakopałem. Resztę pan wie...

— No, no — rzekł Bruno — ale historia!

Nie powiedział co prawda nic więcej, jednakże Horosz pomyślał z ulgą, że ciało Justyny utonęło w głębokiej, mulistej rozpadlinie. Wskazał na samochód.

— Więc jak, pomoże pan? Może byśmy tak razem, wspólnymi siłami?

— Naturalnie! Trzeba by jeszcze tylko trochę galezi.

Artur zapalił reflektory. Ciemność stała się mniej straszna i jakoś mniej przynębiająca. Niedawne przeżycia powoli bladły, oddalały się.

— Co było potem? — zapytał Wanacki.

— No, cóż, wszyscy chyba uwierzyli bez zastrzeżeń w wyjazd Justyny, skoro nikt się już o to nie dopytywał. List znalazł się, jak sam pan widzi. Natomiast torebki Justyny nadal brakuje.

— W pańskim opowiadaniu jest jednak więcej punktów niejasnych. A więc jak pan, lekarz jakkolwiek by było, mógł myśleć, że żona popełniła samobójstwo, skoro w jej ciele znaleziono kilka ran kłutych?

— Sam się teraz nad tym zastanawiam. Nie wykluczam oczywiście, że Justyna sama mogła zadać sobie te ciosy...

— W plecy? — zdziwił się Wanacki. — Uderzono ją w plecy, i to prawdopodobnie po tym, jak już spadła.

— Teraz sobie to dokładnie przypominam. Leżała twarzą do ziemi. Widać było jedynie rozrzucone włosy i mnóstwo krwi. Początkowo myślałem, że to Monika, pasierbica profesora Malanowskiego. Odwróciłem ją i dopiero wtedy zobaczyłem, że się mylę i że mam przed sobą Justynę.

— Były do siebie podobne?

— Owszem, nietrudno było się pomylić. Zwłaszcza nie widząc twarzy... U podstaw mojej pomyłki leżało jednak i kilka innych okoliczności. Jak już mówiłem, odwróciłem od razu ciało, a zatem nie mogłem spostrzec ran na plecach. Okoliczności zresztą też nie sprzyjały dokładniejszemu oględzinom, był mrok, prawie ciemno, a baterie latarki, którą wziąłem ze sobą na wycieczkę, wyczerpały się w czasie krążenia po bunkrach. No i jeszcze jeden ważny powód — autosugestia. Po prostu nastawiłem się wewnętrznie na to, że Justyna popełniła samobójstwo i sam w to bezkrytycznie uwierzyłem. Stąd cała późniejsza reakcja.

Przed dom zjechał jakiś samochód. Wanacki usłyszał głos Elżbiety Kostrzewskiej. Wychylił się przez okno.

— Już schodzę! — zawołał.

Elżbieta trzymała w ręku jakiś papier.

— Tu są wstępne wyniki oględzin zwłok — powiedziała. — Obiecałam waszemu milicyjnemu lekarzowi, że ci je jak najprędzej dostarczę... Zanim je przeczytasz, chciałam tylko dodać, że zgadzam się z jego opinią, iż te kilka ran mogło zostać zadanych narzędziem podobnym do lekarskiego lancetu.

— Lekarskiego lancetu? — powtórzył Wanacki. — Może mu to sama zasugerowałaś?

— Nie byłoby w tym lancecie nic dziwnego. W końcu ten Horosz to, zdaje się, chirurg. Na pewno zabrał tutaj ze sobą jakiś podręczny zestaw narzędzi lekarskich. Wiedz, że żaden lekarz nie ruszy się bez czegoś takiego na urlop w głuszy.

— Profesor Malanowski jest również chirurgiem — zauważył Wanacki. Przypomniał sobie czarną walizeczkę, którą Malanowski wyjął z szuflady, szukając listu Justyny Horosz.

— Poczekaj chwilę — poprosił. Zawrócił do domu i zastukał do drzwi pokoju profesora.

Malanowski czytał książkę albo udawał, że ją czyta. Pospiesznie zdjął okulary, przyglądał włosy.

— Czy ma pan tu może ze sobą, panie profesorze, jakieś medyczne narzędzia?

— Ot, taki podręczny zestaw — zapytany sięgnął do szuflady i wyjął znaną już Wanackiemu walizeczkę. Była zamykana na kluczyk. Gdy ją otworzył, Wanacki ujrzał kilka błyszczących, niklowanych narzędzi, słuchawki, aparat do mierzenia ciśnienia, parę strzykawek oraz jakieś leki w buteleczkach, fiolkach i ampulkach. Kilka miejsc było pustych.

— Czegoś brakuje — zauważył.

Malanowski rzucił okiem.

— Ach, tak — przyznał — rzeczywiście użyłem trochę leków dla Moniki... To moja pasierbica, miała kilka dni temu wywrotkę na jeziorze. Omal nie utonąła... zrelacjonował w skrócie wypadek na Bejsunach.

— Chciałbym to zabrać na jakiś czas — powiedział Wanacki. — Obiecuję, że wszystko zostanie panu jak najszybciej zwrócone.

— Po co to panu? — zjeżył się Malanowski. — Trzymam przecież stale tę walizeczkę w biurku, zamkniętym na klucz. A i sama, jak się pan przekonał, ma również dobry zamek. Zaręczam panu, że nikt niepowołany nie ma do tego dostępu.

— A jednak — powtórzył Wanacki i wyciągnął rękę po walizeczkę.

Początkowo zamierzał ją zawieść od razu do Suwałk, lecz rozmyślił się. Wszedł znów na górę, do pokoju, gdzie zostawił Horosza.

— Czy pan ma również taki zestaw? — zapytał.

— Podobny.

Wanacki rozłożył walizkę Malanowskiego.

— A może mógłby pan podpowiedzieć, czego tutaj brakuje?

Horosz przyglądał się wyposażeniu przez dłuższą chwilę.

— Mam wrażenie, że butelki z eterem. W każdym razie ja go mam w swojej walizce lekarskiej, a są to przecież typowe na ogół zestawy.

— Mogę sprawdzić?

— Oczywiście!

Horosz wyjął z szuflady identyczną na pierwszy rzut oka walizkę. Otworzył ją i pokazał Wanackiemu niewielką, szczelnie zakorkowaną butelkę z grubego szkła, z naklejoną kartką: „Eter”.

— Profesor Malanowski mówił mi — powiedział Wanacki — że zużył podobno część leków dla swojej pasierbicy po wypadku na jeziorze. Czy wśród tych specyfików mógł być i eter?

Horosz uśmiechnął się z wyższością.

— Wykluczone! Monikę trzeba było cucić, a nie oszalać. Zresztą wówczas eter, o ile się nie mylę, jeszcze sam widziałem. Było to w pokoju Moniki, wkrótce po wywrotce na Bejsunach. Zanościłem tam koce i wtedy zobaczyłem otwartą walizkę. Leżała na szafce, obok łóżka Moniki.

— Czy wtedy mógł ktoś zabrać eter?

Spojrzenie Horosza powędrowało gdzieś w bok.

— Ja go w każdym razie nie wziąłem. I bardzo wątpię, aby mógł to zrobić ktoś inny. W pokoju był tylko profesor, jego żona i Monika. A zresztą profesor — dodał — pilnuje na ogół swojego zestawu.

— No, cóż — rzekł Wanacki — będzie pan to jednak musiał powtórzyć jeszcze raz w Suwałkach.

— Jak to?! — wybuchnął Horosz. Jego oczy wyrażały tyleż samo gniewu, co zawodu. — Przecież już wszystko powiedziałem!

— Ale to nie było oficjalne przesłuchanie. Teraz trzeba wszystko zaprotokolować, podpisać zeznanie i tak dalej. Zostanie pan przesłuchany w charakterze świadka — poinformował oficjalnie.

Wyraz twarzy Horosza zmienił się.

— A więc jednak uwierzył mi pan, że naprawdę nie zabiłem Justyny? — zapytał z nadzieją w głosie.

Ale do samochodu Wanackiego wsiadał sflaczały, ani przez chwilę nie odwracając się w stronę ganku, przed którym stała zresztą tylko Patrycja.

VII

Od jeziora ciągnął wiatr, uderzał o wierzchołki sosen.

Bruno Jankowski otworzył drzwi i cicho wysunął się przed dom. Żwir pod nogami zachrzęścił. Naoliwione zawiasy furtki nawet nie skrzypnęły. Bruno wyszedł na drogę i poszedł nią w kierunku bunkrów.

Wieczorem poprzedniego dnia wrócił do domu późno, lecz od razu dowiedział się o śmierci Justyny Horosz i o podejrzeniach w stosunku do Artura Horosza. W tej sytuacji nie mógł się już dłużej zastanawiać. Musiał zacząć działać.

Uszedł może kilometr, gdy dogonił go samochód profesora Malanowskiego. Wewnątrz siedziała Monika.

— Wsiadaj — zakomenderowała krótko.

„Nie, to nie może być tylko przypadek — pomyślał. — Musiała mnie śledzić...” I przypomniał sobie, jak był pewien, że nikt nie zauważył jego wyjścia z domu.

Wsunął się do samochodu.

„Czego ona ode mnie znów chce?” — pomyślał niechętnie. Naprawdę miał jej już po dziurki w nosie. Dlaczego jednak o tym do tej pory nie powiedział? Dlaczego nie oświadczył jej po prostu: „Moniko, przykro mi, że tak to się wszystko głupio potoczyło. Ale sama wiesz, w życiu różnie bywa. A ja i Pat...”

Teraz też milczał i pozwolił, by pierwsza odezwała się Monika.

— Możesz na mnie polegać — oświadczyła znienacka. — Nie bój się, nie szepnę nikomu ani słowa!

Przyjął to zapewnienie ze zdziwieniem.

— Moniko, o czym ty w ogóle mówisz?

— Bruno! Nie udawaj! Dobrze wiesz, o co chodzi! Przecież cię widziałam!

— Gdzie mnie widziałas?

— Jak to, gdzie? Tam, w bunkrach! Pamiętasz naszą zabawę w chowanego i to, jak później gdzieś wszyscy porozchodziliśmy się, pogubiliśmy? Szłam właśnie ścieżką, prowadzącą przez las w stronę wierzchołka najwyższego z bunkrów. Stamtąd właśnie cię zobaczyłam... Nie widziałeś mnie. Byłeś niezmiernie zaabsorbowany. Mam ci przypomnieć, co cię tak zaabsorbowało? Trzyma-

leś w rękach otwartą damską torebkę i czegoś w niej gorączkowo szukałeś. Czy tak? Zgadza się? I jeszcze jedno — na dole, pod bunkrem, leżała Justyna...

Bruno raptownie spoważniał.

— Słuchaj, dziewczyno, tylko mi się nie waź łączyć ze sobą obu tych faktów! Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę? To posłuchaj. Zapadał już zmierzch i Patrycja, z którą dotychczas byłem, wysłała mnie na poszukiwanie reszty towarzystwa. Chcąc się rozejrzeć, postanowiłem wejść na wierzchołek najwyższego z bunkrów. Idąc poczułem jakiś osobliwy zapach. Zauważyłem kawałek białego materiału. Podniosłem — była to chusteczka do nosa; mokra i rzeczywiście intensywnie czymś pachnąca. Przypominało to woń cteru.

— Eteru? — podchwyciła Monika. — Jesteś pewien?

— Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. Był jeszcze na tyle świeży, że nie zdążył zwietrzeć. Monika zagryzła wargi.

— Ciekawe — rzekła powoli — mów dalej.

— Obok chusteczki leżała damska torebka. Pomyślałem, że może to twoja.

— A niby dlaczego?! — wykrzyknęła Monika. — Nawet nie wiesz, jak wygląda moja torebka?

— A nie wiem — przyznał — i dlatego właśnie ją podniosłem. Pomyślałem, że warto sprawdzić, czy się nie mylę. Otworzyłem, zacząłem przeglądać zawartość. Znalazłem dowód osobisty i inne dokumenty. Zorientowałem się, że trzymam w ręku torebkę Justyny Horosz. Gdzieś jednak podziata się jej właścicielka? Zacząłem się rozglądać. Podszedłem do krawędzi bunkra, spojrzałem w dół. Wtedy zobaczyłem... Justyna Horosz leżała twarzą do ziemi. Wokół było pełno krwi. Już zamierzałem zbiec na dół, gdy naraz usłyszałem szelest wśród drzew. Przeraziłem się, że jeszcze ktoś mnie posądzi o jakiś związek ze śmiercią tej kobiety...

— Skąd wiesz, że nie żyła? Może jeszcze wtedy potrzebowała jakiejś pomocy?

Potrząsnął z powątpiewaniem głową.

— Nie wydaje mi się. Nienaturalny układ ciała, no i ta krew... Niewiele myśląc, wepchnąłem chusteczkę do torebki, a torebkę postanowiłem ukryć. Zakopałem ją pospiesznie w jakimś jamie pod drzewem — pod mchem, pod darnią — i po prostu, nie oglądając się za siebie, uciekłem.

— Ale z ciebie tchórz! — powiedziała pogardliwie Monika.

— Nie tchórz, tylko racjonalista — sprost-

wał. — Justynie i tak już nie mogłem pomóc, natomiast sobie mogłem zaszkodzić, i to potężnie: Po przyjeździe do domu udawałem więc, że o niczym nie wiem i razem ze wszystkimi oczekiwałem/niecierpliwie na opóźniającego się powrót Horoszków. Ponieważ to oczekiwanie się przedłużało, Pat zaproponowała ponowny wyjazd. Co dalej — wiesz. Napotkaliśmy na drodze samochód Horoszków, przy którym zostałem, a wy poszliście do bunkrów, by ich poszukać. Kiedy wróciliście, czekała mnie największa niespodzianka. Nikt nawet słowem nie zająknął się o zwłokach Justyny. A przecież musicieście się na nie natknąć — leżały w widocznym miejscu, tuż pod ścianą najwyższego z bunkrów.

— Nie było ich tam, kiedy wróciliśmy — powiedziała Monika.

— No właśnie! A Horosz powiedział, że odwiózł Justynę na przystanek autobusowy... Naza jutrz sam poszedłem do bunkrów. Nie było nawet śladu ciała. I ani plamki krwi...

— Przez całą noc lał deszcz... — zauważyła Monika. — Wszystko spłynęło z wodą.

— Nawet o tym wtedy nie pomyślałem. Doszedłem do wniosku, że nie będę się wtrącać w całą tę historię, skoro nie mam zielonego pojęcia, co jest grane.

— Kłamiesz! — orzekła Monika. — Wcale ci nie wierzę! To ty zabiłeś Justynę, a całą tę historię wymyśliłeś. Ale nie bój się, jeżeli tylko będziesz grzeczny i posłuszny — zażartowała cynicznie — i wierny swojej Monice, nic ci się złego przy mnie nie stanie. A już na pewno nie pójdę na milicję powiedzieć o tym, co widziałam. Twój letni romans z Pat też powinien się szybko zakończyć...

Głos jej naraz zadrżał i wypadło to żałośnie i sztucznie... Bruno jednak tego nie spostrzegł.

— Wszystko, co powiedziałaś, to zupełna bzdura, od początku do końca. Pamiętaj o chusteczce skroplonej eterem — przypomniał. — Dobrze wiesz, że jeżeli komuś przytknie się zniecka do twarzy taki tampon i oszołomi, to nawet taka słaba jak ty kobieta łatwo może zepchnąć człowieka w przepaść. Do tego miałaś znakomity motyw, którego u mnie doprawdy trudno się doszukać. Tylko ja wiem, gdzie się znajduje torebka. A teren tu rozległy — długo można szukać. Pamiętaj — powtórzył. Otworzył drzwiczki, wyskoczył z samochodu i zniknął w lesie, wśród drzew.

Monika pozostała jeszcze chwilę. Musiała ochłonać po rozmowie z Brunem. Nie mogła wracać do domu, póki nie przemyśli sobie wszystkiego jeszcze raz. Póki nie postanowi, co dalej.

Patrycja wyszła do ogrodu. Pachniało maciejką. Nie mogła spać. Myślała o Arturze Horoszu i czuła wyrzuty sumienia. Być może, gdyby nie ów flirt, w który go lekkomyślnie wciągnęła z zamiarem wywołania zazdrości Bruna, wypadki potoczyłyby się inaczej, a Justyna żyłaby.

Droge nad Bejsuny znała niemal na pamięć. Wkrótce znalazła się nad brzegiem i pełną piersią odetchnęła chłodnym powietrzem. Weszła na pomost, ale po chwili zorientowała się, że nie jest sama.

— Jest tam ktoś?! — zawołała.

Łódka przycumowana przy pomoście poruszyła się, plusnęła woda. Patrycja usłyszała czyjś cichy płacz.

Podeszła bliżej. Poznała Malanowską.

— Ciociu — spytała zaskoczona — dlaczego płaczesz? I co tu robisz o tej porze?

— Nic, nic — odparła Mira. — Po prostu okropnie się zdenerwowałam tą całą historią i nerwy zawiadły. Idź już, zostaw mnie samą.

— Ależ ciociu, co ty? Chodź, odprowadzę cię do domu. Wcale się nie dziwię, że jesteś w takim stanie. Wszyscy jesteśmy poruszeni. I śmiercią Justyny, i tym, że milicja zabrała Artura. Okropne to! — wzdygnęła się. — Chodźmy! — powtórzyła i niemal siłą podniosła Malanowską. Łódka zachybotała, fala uniosła ją nagle dalej.

— Ojej! — krzyknęła Pat. — Zobacz, co się dzieje! Ktoś pewnie zapomniał założyć kłódki na łańcuch i tylko patrzeć, jak zniesie nas na jezioro.

Wzmagający się wiatr uderzał w drewniane burty, odpychając łódź od pomostu. Patrycja bała się wyskoczyć, ażeby mała płaskodenka nie utraciła równowagi i nie wywróciła się.

— Ratunku! — zawołała głośno.

Były coraz dalej od pomostu, a Pat, przecież dobrze wiedziała, że ciotka nie umie pływać. Wywrotka w tych ciemnościach może oznaczać dla niej śmierć. Dlatego krzyknęła raz jeszcze:

— Ratunku! Pomocy!

— Co się stało? — usłyszała nagle głos stryja.

Malanowski, który znalazł się na pomoście, bez namysłu wskoczył do wody. Dopłynął do łodzi, chwycił za łańcuch na dziobie i zaczął holować ją do brzegu.

Gdy łódka stanęła bezpiecznie przy pomoście, Patrycja okręciła łańcuch wokół słupka i podała dłoń Malanowskiej.

— Najadłaś się, ciociu, strachu?

— Wcale nie — odparła Malanowska. — Ani

przez chwilę się nie bałam. Tak już jest, że w krytycznych chwilach Michał zawsze znajdzie się przy mnie i pospieszy mi z pomocą.

Spojrzała z wdzięcznością na męża i zaraz zatroszczyła się:

— Chodź natychmiast do domu, musisz przebrać się w coś ciepłego!

— A ty mi musisz, u licha, odpowiedzieć, co właściwie robiłaś po nocy w tej łodzi!

Malanowska nie odpowiedziała. Milczała dyskretnie również Pat.

Na niebie nie było księżycy, nie świeciły gwiazdy. Drzewa kąpały się w mżawce i zaraz suszyły w podmuchu wiatru.

Bruno wyszedł z lasu na drogę. Musiał się spieszyć. I tak nie wiedział, czy nie będzie za późno.

Wkrótce ujrzał pierwsze czarne ściany, o ton jedynie ciemniejsze od otoczenia. Z oddali dochodził rechot żab.

Ścieżka zaprowadziła go wyżej, aż do krawędzi betonowego stropu, za którym rozciągała się głęboka, niebezpieczna przepaść.

Musiał sobie przypomnieć, gdzie stał wówczas. Odwrócił się i w świetle latarki ujrzał kępę brzoź. Pamiętał, że zbiegł wtedy kawałek w dół, od kępy w stronę lasu. Ale teraz to wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Ciemność zmieniała proporcje.

Mimo wszystko jednak musiał spróbować... Z latarką w ręku, nisko pochylony nad ziemią, zaczął się posuwać krok po kroku wśród rzędów drzew...

Nad jeziorem zaczęło szarzeć. Malanowski wziął wędkę i jak codziennie wyruszył na ryby.

Przy pomoście stały dwie łodzie. Pierwsza, żaglówka, zakotwiczona nieco dalej i druga — szeroka, trochę toporna płaskodenka na wiosła, służąca właśnie do wędkowania.

Wszedł na chybotące się deski, by odwiązać łańcuch. Patrycja zamocowała go wieczorem po niefortunnej, chociaż szczęśliwie zakończony przygodzie. Później wyszła jeszcze raz, powracając z wiadomością, że wszystko w porządku i nie ma mowy o tym, ażeby wiatr zniósł w nocy łódź gdzieś dalej na wodę.

Obejrzał się. Las zasłaniał dom i tylko od czasu do czasu prześwitywał zza falujących koron drzew czerwony spadzisty dach.

Brzeg wydawał się pusty. Jedynie na piasku zachowały się jeszcze odciski czyichś stóp.

Malanowski wyjął chusteczkę. Wytarł mokrą

od deszczu twarz. Chwilę jeszcze pozostał bez ruchu, pogrążony w rozmyśleniach. Następnie pochylił się i zaczął odplątywać łańcuch płaskodenki. Wskoczył do wody, uważając, by mu się nie wlała do kaloszy. Odpiął nieprzemakalną kurtkę i wyjął spod niej jakiś pakunek, który umieścił pod ławką, na podłodze. Wtedy właśnie zauważył na dnie łodzi sporo wody.

W części dziobowej powinien być drewniany czerpak. Małanowski sięgnął po niego i zaskoczony spojrzal na zawartość drewnianej szufelki służącej do wybierania wody. Leżała tam pękata butelka z grubego szkła z naklejką: „Eter”. Była prawie pusta. Profesor odkręcił nakrętkę, przytknął butelkę do nosa. Poczul znajomy zapach.

Świt zastał Bruna w lesie. Szarość poranka wkraśniała się między drzewa, przypominając o upływie czasu. I o tym, że tego czasu jest z każdą chwilą mniej.

Wiatr świstał w załomach i szparach murów bunkrów, szumił w koronach brzoź i sosen. Sceneria, poprzednio skryta w ciemności, obecnie ukazywała się dziwnie złowroga. Mżawka przeszła w deszcz, bębniący grubymi kroplami po betonie.

Bruno zgasił latarkę. Rozejrzal się. I wtedy nagle... Nagle uświadomił sobie, gdzie ukrył to, czego szuka.

— Jest! — powiedział triumfująco sam do siebie. Zagłębił dłoń w wilgotnej szczelinie, skąd wyciągnął torebkę Justyny. Ruszył pospiesznie w drogę — ale, wcale nie z powrotem do domu nad Bejsunami.

Monika przemyślała sobie wszystko. W żadnym razie nie mogła zostawić spraw ich własnemu biegowi. Musiała znaleźć chusteczkę, a więc i torebkę Justyny.

Jeżeli Bruno mówił prawdę, torebka powinna być ukryta gdzieś na szczycie bunkra, skąd spadła Justyna.

Miała nadzieję, że ją znajdzie.

Wstawiła samochód do garażu i poszła do siebie. Stanęła w oknie, wyglądając Bruna. Bruno jednak nie nadchodził.

Krótką, letnią noc niespodziewanie przeszła w szarość poranka. Niebo pokrywała wata chmur. Padało.

Monika naciągnęła na siebie nieprzemakalny płaszcz i ruszyła przez ogród. Za kilka minut była już w lesie.

Droga dłużyła się jej niemiłosiernie. Nareszcie jednak ujrzała filary zniszczonego mostu i rumowiska betonowych płyt, porośnięte trawą.

Bunkry wydały jej się stokroć bardziej ponure niż poprzednio. Z góry, ze szczytu najwyższego z nich, widziała teraz dokładnie cały teren. Grube betonowe mury sterczały nad ziemią jak wielkie szare zęby. W oddali rozpościerało się bagno, zamglone deszczem. Nie było jednak czasu się przyglądać. Monika ukłękła i zaczęła szukać.

Po jakimś czasie zorientowała się, że Bruno ją uprzedził. Bruno albo ktoś inny, kto pozostawił po sobie płyty pozrywanej darni i wygrzebane w poszyciu jamy. Nie było sensu dłużej szukać. Torebki Justyny już tu na pewno nie ma.

Niespokojnie rozejrzała się wokół. W tym momencie gałęzie drzew rozchyliły się. Monika poderwała się z kolan, lecz było już za późno. Ujrzała naprzeciw siebie Patrycję.

Obejrzała się, szukając drogi ucieczki. Wówczas zorientowała się, że stoi niebezpiecznie blisko krawędzi. Za plecami miała już tylko przepaść. Tę samą, w którą spadła Justyna...

— Więc wreszcie jesteście same, kochana Moniko — powiedziała Pat. Postąpiła krok naprzód.

— Nie zbliżaj się do mnie! — krzyknęła Monika. — Słyszysz? Nie zbliżaj się! — w jej głosie brzmiała histeria.

— Boisz się? — zapytała Pat. — Prawda, że się mnie boisz? — znów podeszła mały krok do przodu.

— Przestań! Czego właściwie chcesz?

— Powiedzmy, że najpierw porozmawiam. Co dalej, to się okaże. Wszystko zależeć będzie od ciebie.

Monika rzuciła się naprzód. Lęk, zamiast ją obezwładnić, dodał jej sił. Jedną ręką usiłowała złapać Patrycję za włosy, drugą dosięgła twarzy, pozostawiając na niej od razu głębokie, podbiegłe krwią szramy. Pat krzyknęła. Nie spodziewała się widać ataku Moniki, skoro nie powstrzymała pierwszego impetu. Monika walczyła poza tym z niezwykłą zaciętością. Patrycja nie pozostawała jej dłużna. Udało jej się zrzucić Monice okulary. Rozbite, upadły w trawę. Bez nich Monika była jak oślepią. Potknęła się. Runęła — lecz pociągnęła za sobą Pat. Obie znalazły się na skraju przepaści. Jeszcze chwila, jeden gwałtowniejszy ruch — i zaczęły się zsuwać, nie znajdując oparcia w wilgotnym, śliskim mchu...

Las wreszcie się skończył. Ukazały się pola, łąki i pierwsze zabudowania. Droga skręciła w kierunku wsi. W kilka minut później Bruno doszedł do przystanku PKS. Wsunął torebkę Justyny pod skafander i spojrzał na zegarek.

Nie minął nawet kwadrans, gdy wsiadał do autobusu, kursującego przez Bieliny do Suwałk.

W ostatniej chwili Monika zdążyła chwycić się wątlego pnia brzoźki, rosnącej na skraju urwiska. Powoli, milimetr po milimetrze, podciągnęła się do góry.

— Ratunku! — krzyknęła Pat. — Ratunku! Monika, błągam...

Monika milczała.

— Zrób coś... naprawdę...

Niespodziewanie poczuła, że dłoń Moniki podparła jej ramię, podciągnęła ciało ku górze. Powoli, powolutku, z krainy śmierci, w której, jak jej się wydawało, już się jedną nogą znalazła, Pat wracała do życia. Z jękiem obróciła się na bok. Monika pochyliła się nad nią.

— No, więc — powiedziała — porozmawiamy...

Pat uniosła głowę.

— Monika... Ty... — wykrztusiła — ... uratowałaś mi życie... wybacz...

— Co ci mam wybaczyć? — zapytała zimno Monika. — Że mnie chciałaś zabić, i to nie pierwszy już raz? To właśnie chciałaś powiedzieć, kochana kuzynko? Teraz ty się boisz, prawda? Widzisz, jak szybko odwróciły się role! Nie ruszaj się! — ostrzegła. — Zresztą — dodała lekceważąco — właściwie powinnam pozwolić, żebyś spadła. Nie jesteś wiele warta! Mam ci przypomnieć wywrotkę „Mewy”? Celowo do tego doprowadziłaś. Wiedziałaś, że nie umiem pływać. Myślałaś, że się utopię i nie będzie żadnych winnych. Byłaś i jesteś piekielnie zazdrosna, Pat. Nigdy nie przypuszczałam, że tak właśnie może wyglądać zazdrość. Dzień po dniu, godzina po godzinie, robiłaś wszystko, żeby tylko ometać Bruna i doprowadzić do zerwania między nami — Monika wyrzucała z siebie słowa jak karabin maszynowy. Zrzucała balast, który od dawna ciążył jej na sercu. — Wtedy, na jeziorze, nie udało ci się. Ale nie zrezygnowałaś. Nie należysz do osób, które łatwo kapitulują. Spróbowałaś powtórnie. Tym razem jednak fatalnie się pomyliłaś. Zamiast mnie pchnęłaś w przepaść tę biedną Justynę. Potem, kiedy się zorientowałaś w swojej pomyłce, tylko czekałaś na odpowiedni moment, żeby spróbować po raz drugi...

Patrycja podciągnęła się nieco.

— Ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz?... Myślisz, że byłabym zdolna do czegoś takiego? Chyba naprawdę bardzo mało mnie znasz...

— Więc co tu robisz? Musiałaś mnie śledzić, poszłaś za mną...

— Powiem ci. To w końcu żadna tajemnica. I tak dowiedziałabyś się, prędzej czy później... Umówiłam się z Brunem, że przyjdzie do mnie w nocy do pokoju.

— Ach, ty!... — syknęła Monika.

— Czekałam na niego, stojąc w oknie — ciągnęła Patrycja udając, że nie słyszy — gdy nagle spostrzegłam, że gdzieś wychodzi. Atmosfera w domu była nie najlepsza — sama wiesz; okazało się, że Justynę zamordowano, milicja zabrała doktora Horosza, jednym słowem pomyślałam, że po prostu wychodzi, by się trochę od tego wszystkiego oderwać. Bruno jednak długo nie wracał. Potem zauważyłam ciebie... Wyprowadzałaś samochód stryja. Przypuszczałam, że pojechałaś za Brunem. Po jakimś czasie jednak wróciłaś — sama. Czekałam nadal. W pewnym momencie zauważyłam, jak wymykasz się po kryjomu z domu. Tym razem nie chciałam zostawić spraw własnemu biegowi. Poszłam za tobą, no i... Czego tu szukałaś? I gdzie jest Bruno?

Bruno dojeżdżał właśnie do Suwałk. Pekaes zatrzymał się przed dworcem autobusowym, nie opodal którego widniała biała fasada kościoła. Przeciwny niewielki park, wyszedł na główną ulicę, której nazwy nawet nie zdążył zauważyć. Była niezmiernie długa, monotonicznie zabudowana piętrowymi domami Kongresówki i pełna przechodniów.

Bruno zatrzymał jednego z nich.

— Przepraszam, czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu jest milicja?

W kilka minut później dyżurny oficer skierował go do majora Wanackiego.

VIII

Wanacki dotarł nad Bejsuny wieczorem. Kiedy wysiadał ze swego fiata, było jednak jeszcze stosunkowo jasno.

Monika poznała go od razu, choć w szarej, błyszczącej wiatrówce z kolorowymi pasami na rękawach wyglądał raczej jak sportowiec wracający z treningu. W ręku niósł dużą tqrbę.

Major nie był sam. Do ogrodu weszło jeszcze dwóch mężczyzn, których Monika także poznała od razu, gdy tylko się zbliżyli.

— To pan, doktorze? — zapytała z pewnym zdziwieniem na widok Horosza. Zdziwienie szybko ustąpiło miejsca odcieniowi wyraźnego zaniepokojenia. — Bruno? — zawołała. — A skąd ty w tym towarzystwie?

— Z Suwałk — odpowiedział. — Z milicji.

— Pan Bruno Jankowski złożył wyczerpujące zeznania i opowiedział o wszystkim — oznajmił oficjalnie Wanacki.

— Jak to? — przerwała mu Pat, która właśnie wynurzyła się z domu. Stała w cieniu dzikiego wina, oplatającego ganek, lecz mimo to trudno było nie dostrzec dużej szramy, przecinającej policzek. — Bruno, czy to możliwe? — zapytała. — Więc to ty zabiłeś Justynę, biorąc ją przez pomyłkę za Monikę?

Wanacki nie dał mu odpowiedzieć. Zwracając się do Moniki, poprosił:

— Może pani zawoła rodziców? Mam coś ważnego do przekazania.

Monika w milczeniu weszła do środka. Za chwilę na ganku ukazał się profesor, a za nim jego żona.

— Czy przywiózł pan już może mój lekarski zestaw? — zainteresował się natychmiast widząc Wanackiego. — Mówił pan, zdaje się, że zwróci mi go pan wkrótce.

— Przywiozłem — potwierdził Wanacki, lecz zaraz szybko zmienił temat. — Proszę państwa — zaproponował — chciałbym, ażeby mi państwo teraz dokładnie zrelacjonowali, co działo się podczas zabawy w chowanego na terenie bunkrów. Może pani zacznie? — popatrzył w stronę Miry Malanowskiej.

Malanowska westchnęła.

— No cóż. Patrycja i Bruno schowali się. Potraktowaliśmy to początkowo jako żart. Ale kiedy długo się nie pokazywali, wszyscy pozostali zaczęli ich szukać. Pierwszy, o ile pamiętam, poderwał się doktor Horosz, potem Monika, a za nią żona doktora, pani Justyna. My również rozdzieliliśmy się. Mąż udał się w jedną stronę, a ja w drugą.

— Tak że każdy był w zasadzie sam?

— Przynajmniej ja byłam sama. Chodziłam pośród bunkrów, zaglądałam tu i tam, zagłębiałam

się nawet w jakiejś korytarze, zaczęłam nawoływać, lecz bezskutecznie. Tymczasem nadciągała burza, zrobiło się ciemno. Pomyślałam, że może chociażby w obawie przed burzą wszyscy poszli już w stronę samochodów.

Poszłam więc i ja. Rozumowałam, jak się okazało, prawidłowo. Byli tam już mój mąż, Monika i Patrycja. Brakowało jedynie Bruna, no i państwa Horoszków.

— Jaką drogą doszła pani do samochodu? Ścieżką biegnącą górą, wierzchołkami bunkrów, czy dołem, pod ich ścianami?

— Chyba górą — odparła Malanowska po chwili zastanowienia. — Ale nie rozglądałam się — zastrzegła.

— I oczywiście nie zauważyła pani zwłok pani Justyny Horosz?

— Nie.

— A pani? — Wanacki zwrócił się do Moniki. — O której godzinie wróciła pani do samochodu i co pani robiła wcześniej?

Monika wydeła usta.

— W każdym razie ani myślałam szukać Pat i Bruna! Poszłam w kierunku bagien. Na jednym z bunkrów zachowały się resztki żelaznej drabinki, po której wdrapałam się na górę i jakiś czas tam przesiadywałam, obserwując zachód słońca. Potem wróciłam do samochodu. Myślę, że było około ósmej, może kilka minut po ósmej. Po drodze spotkałam Pat. Do samochodu doszliśmy razem. Zastaliśmy tam stryjskiego. Był zdenerwowany i zniecierpliwiony. Robił wyrzuty Pat, że przez nią to wszystko, że pogubiliśmy się w labiryncie bunkrów.

— Gdzie był wtedy Bruno Jankowski?

— Nie wiem — odparła Monika. — Niech pan lepiej ją o to zapyta — wskazała na Pat.

— Ja też nie wiem — odparowała natychmiast Patrycja. — Twojego Bruna widać ruszyły wyrzuty sumienia, skoro zostawił mnie i poszedł cię poszukać. Ponieważ jednak dogoniłaś mnie sama, bez Bruna, nietrudno było wywnioskować, że minęliście się gdzieś po drodze. Tak czy owak, Monika była wściekła. Posprzeczała się z ojczymem i pobiegła z powrotem, zanim ten zdążył ją powstrzymać. Myślę zresztą, że chodziło głównie znowu o Bruna. Stryj jakoś za nim specjalnie nie przepada, w przeciwieństwie do mojej kuzynki. Prawda, Moniko? — zagadnęła zjadliwie.

— Pat! Dajże wreszcie spokój! — wybuchnęła Malanowska. — Uważam, że byłoby najlepiej, gdyby ten młody człowiek przestał być źródłem fermentu i konfliktów.

— Ale to właśnie on złożył wyczerpujące zeznania — zauważył Wanacki. — A powiedział między innymi i to, że zarówno on, jak i pańska pasierbica widzieli zwłoki Justyny Horosz. A podobno nikt ich przecież wówczas nie zauważył... Ale... — urwał — dlaczego właściwie tak stoimy? Nie zaprosi nas pan, profesorze, do środka?

W hallu panował łagodny półmrok i było znacznie cieplej niż w ogrodzie. Wanacki stanął przy oknie, ogarniając wzrokiem zebranych. Byli tu więc teraz wszyscy — wszyscy uczestnicy dramatu, który rozegrał się przed kilkoma dniami w poniemieckich bunkrach. A jedna z tych osób była mordercą...

— Kolejność powrotu państwa z terenu bunkrów na miejsce zbiórki była zatem następująca: profesor Malanowski, następnie panie Patrycja i Monika, obie jednocześnie. Jako trzecia przyszła pani Mira Malanowska. Kto potem?

— Znowu ja — oznajmiła Monika. — Po sprzeczce z ojczymem wróciłam na teren bunkrów. Tam zauważyłam Bruna, który stał z torbką Justyny Horosz w ręce. Justyna już wówczas nie żyła. A w każdym razie leżała na dole w kałuży krwi. Bardzo się przestraszyłam, zwłaszcza że chodziło o Bruna. Czym prędzej wróciłam do samochodu, nie mówiąc nikomu ani słowa. Tuż za mną wrócił Bruno. Z doktorem Horoszem spotkaliśmy się dopiero po naszym ponownym przyjeździe do bunkrów. Spenetrowaliśmy wówczas powtórnie teren — zwłok Justyny już nie było. Jestem tego absolutnie pewna, ponieważ celowo poszłam w to miejsce.

— Nie rozumiem — odczuwała się Mira Malanowska. Siedziała na ławie, nakrytej pasiastą narzutą. Jej ciemna sukienka stanowiła smutny dysonans wśród jaskrawych kolorów wokół. — Czy to wszystko ma jakiegokolwiek znaczenie?

— I owszem. — odparł Wanacki. — Pozwoliło mi to ustalić, że każdy z państwa był, i to przez dłuższy czas, sam na terenie bunkrów. Każdy więc miał sposobność zamordowania Justyny Horosz.

— Ależ!... — zachnęła się Monika. — Dlaczego akurat nas pan podejrzewa?

— Istnieje wiele poszlak, które za tym przemawiają. Są to przede wszystkim poszlaki przeciwko Horoszowi...

Horosz, który po wejściu do hallu przysiadł na krześle nie patrząc na nikogo, teraz podniósł oczy. Unikał jednak spojrzenia w kierunku profesora Malanowskiego.

— W świetle listu Justyny Horosz, zawierającego poważne oskarżenia przeciwko mężowi, jego sytuacja rzeczywiście wygląda niewesoło. Obciążają go też nieprawdziwe wyjaśnienia na temat rzekomego wyjazdu żony. Jest i przekonywający motyw: konflikt z żoną wokół ewentualnego rozvodu. Ale czy to właśnie Horosz zabił? — zawiesił głos. Po chwili podjął: — Rozpatrywałem także i inny wariant. Kilkakrotnie wspominało mi o podobieństwie, które istniało między Justyną Horosz a Moniką Malanowską. Z relacji profesora Malanowskiego i doktora Horosza wiem o wypadku na jeziorze...

— Już wtedy nasza kochana Pat próbowała mnie zabić — odczuwała się Monika. Jej ręka wyciągnęła się patetycznym, oskarżycielskim gestem w kierunku Patrycji. — To ja powinnicie arestować! Nienawidziła mnie, zazdrościła. A że rzeczywiście byliśmy do siebie podobni, o zmierzchu, w ciemnościach, jakie zapanowały przed burzą, mogła się pomylić i wziąć Justynę za mnie. Zwłaszcza jeżeli podeszła do niej z tyłu i pchnęła ją. Albo zaczęły się szarpać na krawędzi bunkra i wówczas Justyna spadła w dół.

— Po tym, jak spadła, zadano jej kilka ciosów ostrym narzędziem, prawdopodobnie lancetem chirurgicznym. Podczas badania zestawów narzędzi lekarskich, należących do profesora Malanowskiego oraz do doktora Horosza okazało się, że właśnie ostrze lancetu niemal idealnie odpowiada kształtowi ran, zadanych Justynie Horosz. Mimo że sprawca umył lancet, pozostały na nim mikroślady krwi o cechach odpowiadających krwi Justyny Horosz. Był to lancet z zestawu narzędzi profesora Malanowskiego.

— Pan mnie oskarża? — uniósł się Malanowski.

— Sam pan przecież stwierdził niedawno, że nikt prócz pana nie miał dostępu do narzędzi. Chodzi zaś nie tylko o lancet. W pańskiej walizeczce, panie profesorze, brakuje także butelki z eterem. I jeszcze jedno...

Otworzył przyniesioną ze sobą torbę i wyjął z niej damską torbę. Była to brązowa sportowa torbka ze skóry, nie wyróżniająca się niczym szczególnym.

— Torbka Justyny... — wyszeptwała Monika. — Czy to ty... Bruno?

— Torbka rzeczywiście należała do żony doktora Horosza — Wanacki wpadł jej w słowo. — Bruno Jankowski, który mi ją przekazał, znalazł jednak coś jeszcze. Obok leżała chusteczka, nasycona, jak zeznał, jakąś substancją. Eter co

prawda szybko się ulatnia, ale jego ślady udało się jednak wykryć.

Monika podniosła oczy. Miały dziwnie nieruchomy wyraz, niczym niebieskie, porcelanowe oczy lalki.

— Ale pan przecież nie wie, czyja to chusteczka? Równie dobrze mogła tam leżeć już przedtem. Dlaczego miałaby należeć akurat do kogoś z nas?

— Mówiłem już, że eter się szybko ulatnia. Tymczasem pan Jankowski znalazł chusteczkę jeszcze mokrą. Ktoś rzucił ją zatem na ziemię bardzo niedawno... Zbadaliśmy zresztą i samą torebkę. Z dokumentów, które się w niej znajdowały, zdjęliśmy różne odciski palców. Część już zidentyfikowaliśmy jako odciski palców samej Justyny Horosz, część jako odciski Bruna Jankowskiego. Są jednak i inne. Dlatego będę musiał prosić państwa — wszystkich bez wyjątku — abyście się poddali szczegółowemu badaniu daktyloskopijnemu...

— Ależ to nonsens! — zawołała Patrycja. — Czego niby ktoś z nas miałby szukać w torebce Justyny? Bo chyba nie listu, który oddała stryjo-wi?

— Nie — odparł Wanacki. — Przypuszczam, że chciano coś sprawdzić. I chyba nawet wiem, o co chodziło. To pani przecież — zwrócił się do Patrycji — opowiadała mi niedawno o chwilowym zaginięciu torebki pani Justyny w wieczór, poprzedzający wycieczkę do bunkrów.

Patrycja odrzuciła głowę. Na policzkach miała wpięki.

— Ach tak, rzeczywiście, przypominam sobie, zdarzyło się coś takiego. Justyna żaliła się, że gdzieś zapodziała się jej torebka. Znalazła się dopiero w jakiś czas później.

— Ten czas okazał się prawdopodobnie wystarczający, ażeby się upewnić, czy Justyna Horosz jest właściwą osobą. Można to było sprawdzić w jej dowodzie osobistym.

— Ale po co?... — zaczęła Patrycja. I dokończyła już ciszej: — Nikt z nas jej tu przecież nie znał.

— To długa historia — rzekł Wanacki — której początków należałoby szukać w przeszłości...

— Nie ma pan racji — przerwał mu niespodziewanie Malanowski. — Wyjaśnijmy lepiej wszystko od razu. Sprawa jest banalnie prosta: to ja zabiłem Justynę! — podniósł rękę. — Proszę mi nie przerywać. Mam coś więcej do powiedzenia. Chciałbym wyjaśnić, jak to się stało i dlaczego do tego doszło. Udając, że biorę udział w poszukiwa-

niach młodej pary, w rzeczywistości poszedłem za Justyną. Zaczekałem, aż będzie sama i wówczas zaproponowałem jej, by przeszła się ze mną na górę, na szczyt najwyższego z bunkrów, skąd widać cały teren fortyfikacji. Tam rozzejrzałem się. Sytuacja mi sprzyjała. Wokół nie było nikogo. Byliśmy sami. Odwróciłem czymś jej uwagę. W tym czasie wyjąłem z kieszeni butelkę z eterem, którą wzięłem ze swojego zestawu lekarskiego. Wylałem go na chustkę i taki właśnie tampon przycisnąłem Justynie do twarzy. Kiedy upadła, dźwignąłem jej ciało i zrzuciłem w dół... Może wyjaśnić jeszcze, po co eter? Otóż jestem już człowiekiem niemłodym. Bałem się, że napadnięta może zacząć mi stawiać opór, a ja nie będę miał dość siły, by się z nią uporać. Poza tym używając eteru miałem pewność że Justyna nie będzie krzyczeć i nikogo nie ściągnie. Gdyby ktoś mimo to się pojawił, miałem przygotowaną wersję o nieszczęśliwym wypadku. I cały mój plan powiodłoby się do końca, gdyby nie nieprzewidziana komplikacja. Oto gdy zbiegłem na dół, przekonałem się, że mimo upadku ze znacznej wysokości Justyna żyje. Nie mogłem ryzykować. Miałem przy sobie nie tylko eter, ale i chirurgiczny lancet, przygotowany na wszelki wypadek. Uderzyłem... Potem zamierzałem zaciągnąć zwłoki do któregoś z podziemnych korytarzy, gdzie ukryłbym je pod gruzem i betonem. Znam tu wiele miejsc, do których żywa dusza nie zpuści się z obawy przed minami czy zawaleniem się stropów. W tym momencie usłyszałem czyjeś kroki. Ktoś nadchodził — ten ktoś w żadnym wypadku nie mógł mnie tu zobaczyć. Nic zastanawiając się zostawiłem ciało Justyny i uciekłem...

— I nie starał się pan tam powrócić ponownie? — zapytał Wanacki.

— Bałem się, że ktoś mnie uprzedził i odkrył zwłoki. Pobiegłem do samochodu, czekając aż ów ktoś zaalarmuje otoczenie. Wtedy powinienem być jak najdalej od tego miejsca. Nic jednak nie zaszło. Byłem zaskoczony, chociaż starałem się tego nie pokazywać. Niepokój mnie jednak nie opuszczał. Zaproponowałem, aby powrócić na teren bunkrów, poszukać Horoszków... I znów spotkało mnie zaskoczenie: ciało Justyny gdzieś zniknęło. A więc — pomyślałem sobie — ktoś mnie wyręczył. Gdy usłyszałem relację Horosza o rzekomym wyjeździe Justyny, od razu domyśliłem się, kto to mógł być. Nie zdradzałem się jednak ani słowem. Było to przecież najlepsze rozwiązanie, jakie mogłem sobie wymarzyć.

— Dlaczego pan to zrobił? — spytał Wanacki.

Reszta osób milczała jak zamurowana. Wydawało się, że nikt nie może wydobyć z siebie nawet słowa. — Dlaczego pan zabił Justynę Horosz?

— Mówiłem już, to banalna historia. Szantażowała mnie. Pewnego dnia przyszła do kliniki, do męża, z jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą. Doktor Horosz nie mógł wyjść, operował. Sam się więc ofiarowałem z pomocą. Justyna poprosiła, ażebym ją odwiózł na lotnisko, gdzie jest do odebrania piśna przesyłka dla Artura od kogoś, kto jest w Warszawie jedynie przejazdem... Gdy jechaliśmy na lotnisko, z jakiejś małej bocznej ulicy wyjechał nieoczekiwanie rowerzysta. W ostatniej chwili udało mi się go wyminąć, ale i tak ten człowiek przewrócił się razem z rowerem. Widząc, że wstaje, nie zatrzymałem się. Na drugi dzień przeczytałem w gazecie, że ów rowerzysta doznał podczas upadku obrażeń czaszki i zmarł. Justyna również to przeczytała. Od tej pory nie miałem spokoju. To właśnie z inicjatywy Justyny musiałem tutaj zaprosić ją razem z mężem. Żądała jednak daleko więcej. Chciała, abym pod byle pretekstem rzekł się prowadzenia kliniki i poparł na to stanowisko jej męża. Uznałem, że posuwa się za daleko i staje się dla mnie zbyt niebezpieczna... Od tej pory czekałem jedynie na okazję. No i nadarzyła się...

— Nie! — krzyknęła Mira Małanowska. — To wszystko kłamstwo! To ja zabiłam Justynę Horosz. Ja ułożyłam cały plan, ja zabrałam eter i lancet z walizki lekarskiej mojego męża, wykorzystując jego chwilową nieuwagę. Moje odciski palców znajdują się w torbie Justyny, na jej dowódzie osobistym. Miał pan rację — dodała zmęczonym głosem, odwracając głowę w kierunku Wanackiego — to długa historia, której źródła trzeba poszukiwać w przeszłości. Nie wiem, jak się pan tego domyślił i jak pan wpadł na to, ale tak właśnie było...

— No i tak to się wszystko rozwiązało — powiedziała Elżbieta Kostrzewska. Siedziała na krzeselku obok namiotu, wystawiając twarz do słońca. — W gruncie rzeczy tragicznie. Jak myślisz, dlaczego Małanowski przyznał się do tej zbrodni? I jeszcze na dodatek tak barwnie opisał jej przebieg, okoliczności i motyw?

— Prawdopodobnie w akcie swoistej determinacji. Kocha żonę, a choć jest człowiekiem bystrym i inteligentnym, wydawało mu się, że biorąc winę na siebie odwróci od niej naszą uwagę. Miał bowiem czas, aby połączyć sobie

kilka faktów: odkrycie, że to właśnie jego lancet stanowił narzędzie zbrodni, zaginięcie butelki z eterem... Przymuszalnie rozpoznał chusteczkę żony, a nawiązanie przeze mnie do spraw z przeszłości tym bardziej kazało mu się domyślić sprawcy.

— Powiedz, jak na to właściwie wpadłeś?

— Trochę przypadkowo. Horosz naprowadził mnie na taki trop. Już podczas pierwszej rozmowy, a było to bezpośrednio po znalezieniu zwłok Justyny, powiedział mi, że jego żona przeżywała w przeszłości dramat, związany z samobójstwem bliskiego jej kolegi. Nie bardzo mu wtedy wierzyłem. Upatrując w nim podejrzanego numer jeden postanowiłem sprawdzić wiarygodność jego słów. Także i tej relacji. Z Warszawy przekazano mi wykaz samobójstw dzieci i młodzieży. Najbardziej interesowały mnie oczywiście wypadki sprzed kilku lat. Było tego niestety dużo w centralnej kartotece: nazwiska, imiona, daty i miejsca urodzenia, adresy, imiona rodziców i ich zawody. Rzucił mi się w oczy jeden meldunek. Matka chłopaka miała na imię Mirosława i była z zawodu pielęgniarką w jednym z warszawskich szpitali. „Zupełnie jak żona profesora Małanowskiego” — pomyślałem. I przypomniałem sobie jeszcze opowiadanie Patrycji Małanowskiej o rozmowie przy kolacji w przeddzień wycieczki do bunkrów. Tam także mówiono przecież o samobójstwach.

Zażądałem bardziej szczegółowych danych. Dostałem je stosunkowo szybko. Horosz miał rację. Nad jego żoną rzeczywiście ciążyły dramatyczne wydarzenia z przeszłości. Justyna Horosz była mianowicie koleżanką syna Miry Małanowskiej. Nie znały się wówczas — to pewne. Chłopak kochał się w Justynie — ta jednak wołała innego. A był to chłopak mocno znerwicowany. Miewał różne kłopoty w szkole, przebąkiwano o narkotykach... Do tego doszła jeszcze nieszczęśliwa miłość... Wiesz, jak to bywa... Kiedy ma się lat naście, nawet najbliższe problemy mogą urosnąć do apokaliptycznych rozmiarów. Pewnego dnia, gdy rodzice wyszli do pracy, chłopak zażył wszystkie proszki nasenne i uspokajające, jakie znalazł w domu. Do dziś nie wiadomo, czy rzeczywiście uczynił to z myślą o samobójstwie, czy też na pokaz, w przekonaniu, że zostanie odratowany. Miał jednak słabe serce. Zmarł w szpitalu, nie odzyskując przytomności. Chłopak napisał list, w którym za swoją śmierć obwiniał właśnie Justynę Witczak — znaną później jako Justynę Horosz.

Zanim Mira Malanowska do niej dotarła, rodzina wywiozła dziewczynę do krewnych do innego miasta, zacierając wszelkie możliwe ślady. Od tej pory aż do przyjazdu Justyny nad Bejsuny nigdy się nie spotkały.

— I pewnie nawet widząc się po raz pierwszy nie uświadamiały sobie istnienia owego tragicznego węzła, który je złączył?

— W każdym razie nigdy przedtem się nie widziały. Malanowska знаła jedynie panięskie nazwisko Justyny, natomiast Justyna poprzednie nazwisko Malanowskiej, to z pierwszego małżeństwa. Jednakże ta tragedia pociągnęła za sobą następną: w parę tygodni po śmierci syna zginął w wypadku samochodowym jego ojciec — pierwszy mąż Miry. Prowadząc z dużą szybkością wóz, uderzył w drzewo. Malanowska nigdy nie uwierzyła w nieszczęśliwy wypadek. Była przekonana, że jej mąż szukał śmierci nie mogąc pogodzić się z utratą syna... Później wydawało się, że życie jakoś jej się ułożyło. Wyszła po raz drugi za mąż, profesor Malanowski adoptował jej córkę z pierwszego małżeństwa, Monikę, zmieniła pracę... Jednym słowem^o zrobiła wszystko, żeby zapomnieć. Ale się nie udało.

Przypadkowo niespodziewanie zetknęła się podczas urlopu nad Bejsunami z Justyną. Już w pierwszej chwili zwróciła uwagę na to dość rzadkie u nas przeciętne imię. Odżyła pamięć o dramacie z przeszłości. Odżyło również i pragnienie wymierzenia sprawiedliwości za śmierć syna, a pośrednio i męża. Trzeba było jednak najpierw upewnić się, czy ma się rzeczywiście do czynienia z właściwą osobą. Czy Justyna, przybyła z mężem nad Bejsuny, to istotnie ta Justyna, Pewność mogło dać jedynie poznanie nazwiska panięskiego. Nazwisko musiało się znajdować w dowodzie osobistym, a dowód — w torebce. Oto dlaczego zgubiła się chwilowo torebka Justyny i dlaczego odkryliśmy później w dokumentach ślady palców Miry Malanowskiej.

— Rzeczywiście? Sprawdziłeś, czy to tylko błąd?

— Żaden błąd. Nie mogła ich zresztą nie pozostawić, skoro przewertowała cały portfelik.

— No a eter? Lancet? Jak je zdobyła, skoro Malanowski przez cały czas twierdził, że tylko on miał dostęp do walizki z narzędziami lekarskimi?

— Rzeczywiście zwykł nosić kluczyki przy sobie. Bywały jednak chwile, gdy wypływał na ryby i wtedy klucze zostawiał dla pewności w domu... W dzień wycieczki Malanowskiej udało się zdobyć niepostrzeżenie butelkę z eterem

i lancet. Miała zatem narzędzia zbrodni. Pozostawało jedynie czekać na sprzyjający moment... Dalszy przebieg wydarzeń był niemal identyczny, jak w relacji Malanowskiego. Tyle że inny był morderca. W pośpiechu i zdenerwowaniu Malanowska zgubiła chusteczkę, nasączoną eterem, która posłużyła jej do obezwładnienia Justyny. Bruno Jankowski, który mi dostarczył chusteczkę, powtórzył natomiast równocześnie swoją rozmowę z Moniką i zwrócił uwagę na jej reakcję, gdy usłyszała o eterze i o chusteczce.

— Prawdopodobnie domyśliła się wiele w tym momencie — wtrąciła Elżbieta. — Może i nawet szukała na własną rękę torebki Justyny, aby się ostatecznie upewnić, do kogo należy chusteczka.

— Malanowska natomiast działała nadal w pośpiechu. Po powrocie do domu oplukała lancet i, korzystając z panującego zamieszania, umieściła go ponownie w zestawie narzędzi. Butelkę po eterze chciała wyrzucić do jeziora gdzieś daleko od brzegu. Już miała wypłynąć łodzią, gdy pojawiła się Patrycja, niwecząc ten zamiar. Butelkę odkrył jednak profesor Malanowski. Od tej pory zaczął się domyślać, kto może być sprawcą zabójstwa. No, a w końcu sam się przyznał do czynu, którego nie popełnił. Gdy spostrzegł, ile wiem, chciał za wszelką cenę ratować żonę. Teraz przeżywa ogromny dramat. Rezygnuje z pracy w klinice i idzie na emeryturę.

— Spodziewałeś się tego? Przecież, jak cię znam, na pewno robiłeś wszystko, aby przyznała się Malanowska...

— I bez tego istniało dość poszlak, aby ją oskarżyć o dokonanie morderstwa.

— W gruncie rzeczy żał mi tej nieszczęśliwej kobiety. Tyle lat żyć z taką zadrą w sercu i w końcu ulec obsesji wymierzenia sprawiedliwości na własną rękę... To okropne.

— A Justyna Horosz? Tej ci nie żał?

— Wiesz — odparła Elżbieta — ale jak się tak zastanowić nad odpowiedzialnością moralną za czyjąś śmierć... Myślę zresztą, że Justyna Horosz także dręczyło przez wiele lat poczucie winy. Może dlatego nie mogła sobie ułożyć życia?... Bo i tę przecież kwestię możemy rozsądzać w dwóch kategoriach: prawnej i moralnej.

Wanacki nie podjął dyskusji. Z jego punktu widzenia sprawa była skończona.

Odjeżdżając, obejrzał się. Na brzegu jeziora stała Elżbieta, machając na pożegnanie ręką. Po wodzie biegały drobne, migotliwe błyski. Wiatr niósł chłód, zapowiadający zimną mazurską noc.

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07

W latach 1978-1988 w serii „Ewa wzywa 07”
ukazały się następujące powieści:

104. *Aleksander Gabrusiewicz* — Pożyczyć narzeczoną i umrzeć
105. *Krzysztof Ziomek* — Uśmiech fortuny
106. *Danuta Frey* — „Hotel „Kormoran”
107. *Jadwiga Kaflińska* — Magiczny papirek
108. *Helena Sokala* — Osmiu gwardzistów w czarnych bermudach
109. *Marek Rymaszko* — Sprawa osobista
110. *Tadeusz Żobierowicz* — Cios za ciosem
111. *Tadeusz Kwiatkowski* — Turysta
112. *Jan Jerzy Koprowski* — Śmierć w samolocie
113. *Józef Romuald Milcz* — Wizyta u zmarłej
114. *Barbara Gordon* — Dolina nocy
115. *Tadeusz Lembowicz* — Śmierć pod Obładową
116. *Zygmunt Zedler Zbarowski* — Śmierć grabarza
117. *Tadeusz Żobierowicz* — Od zmroku do zmroku
118. *Kazimierz Tkacz* — Nikt nie załował ofiary
119. *Aleksander Gabrusiewicz* — Kwadratura trójkąta
120. *Maciej Zenon Bardoń* — Jędrzych na ogniu
121. *Stanisław Heleński* — Anonim
122. *Jerzy Edgely* — Śladem papierosów „Maracho”
123. *Andrzej Dżurawiec* — Dehnt
124. *Marianna Szymusiak* — Milionerka
125. *Jerzy Sienierski* — Opowieść o duchach i gorącym sercu
126. *Andrzej Dżurawiec* — Inny czas
127. *Zofia Kaczorowska* — Szmargad dla Agaty
128. *Barbara Gordon* — Błąd poręcznika Kwaśniaka
129. *Albert Wojt* — Pan dyrektor jest zajęty
130. *Wojciech Wiktorowski* — Na skraju nizi
131. *Danuta Frey* — Fiat z placu Teatralnego
132. *Zygmunt Janek* — Dzień szósty
133. *Jerzy Kulczyński* — Labirynt
134. *Andrzej Kabier* — Silniejszy niż interes
135. *Zofia Kaczorowska* — Podróż w żalobie
136. *Wojciech Wiktorowski* — Akcja mleczna
137. *Albert Wojt* — Wyrok
138. *Danuta Frey* — Dama ze strusim piórem
139. *Wojciech Piotr Kwiatek* — Za żadne pieniądze
140. *Zofia Krawiec-Szukałska, Zygmunt Boddanowicz* — Bezpieczny świadek
141. *Andrzej Strzelczyk* — Skok
142. *Anatol Ulman* — Pobijacy z brzośwa



ISBN 83-207-1087-1

Cena zł 150,—